Cena 9 d

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO KULTURALNY

ROK III Nr 33/112 Londyn, dnia 14 sierpnia 1949 CENA 9 d.

CYRYL WODZIŃSKI

BERNARD, CZYLI REWOLUCYJNY LEGITYMISTA

BERNARD (po staropolsku Biernat) — to imię częstokroć u nas spotykane, zwłaszcza w rodzinach o trochę niemieckim pochodzeniu. W naszych czasach pamiętne bardziej z powodu małej Soubirous z Lourdes, św. Bernadetki lub Siostry Marji Bernardy, ale głównie z okazji dwóch świętych: Bernarda z Mentony i Bernarda z Clairvaux lub Klarawaleńskiego.

Pierwszy — to założyciel słynnych hospicjów dla podróżnych na dwóch przełęczach Wielkiego i Małego św. Bernarda. Sabaudczyk, rycerski syn, co uciekał ze swego rodzinnego zamku sponad jeziora Annecy, by ujść ojcowskich, wybranych dla niego konkurów. Uciekł do Aosty.

Dziś to trzy różne kraje: Włochy, Francja i Szwajcaria. Wtedy był to jedyny świat Alp zachodnio-południowych. Wężowisko najwyższych szczytów Europy i kocioł cywilizacji. Wszystko zaś wiek dziesiąty, zanim jeszcze śniło się Mieszkowi chrzest przyjmować. Ale psy „Bernardy" są i dzisiaj. Poznałem je wpierw w mieszkaniu w Warszawie, gdy byłem „mały" (któż jest „duży"?) i w pewnym dworze niedaleko Łodzi wpierw jeszcze, nim widziałem je na rodzinnej górze. Obecnie Kanonicy Regularni, Augustianie, z Góry św. Bernarda podejmują na czterech tysiącach metrów ponad poziom morza lamaickich pielgrzymów do Lhassy w Tybecie. Podejmują i stykają z chrześcijaństwem. A psy, szwajcarskiego dziś obywatelstwa, doczekały się wzmianki w liście apostolskim Piusa XI na tysiąclecie Góry św. Bernarda w 1923.

Niech mi wolno będzie wtrącić jeszcze i to, że tak popularni w Polsce Bernardyni nic wspólnego z żadnym Bernardem nie mają. Ani z tym „od psów", ani tym Klarawaleńskim. Są po prostu gałęzią franciszkańskiej rodziny, według reguł św. Bernardyna ze Sieny, którego uczniem był św. Jan Kapistran, który z kolei wprowadził ich do Polski. Bernardynami zwą się tylko w Polsce, gdzieindziej „Bracia Mniejsi Ścisłej Obserwancji". Ale to już wiek XV, a w Polsce cały szereg błogosławionych i „podbłogosławionych", że tylko wspomnę Ładysława z Gielniowa, Jana z Dukli, Szymona z Lipnicy, Rafała z Warki i t.d.

Kocham bardzo tego górskiego Bernarda i wydaje mi się, żebym potrafił to i owo o nim opowiedzieć. Ale Bernardem, o którym obecnie chcę mówić, to opat Klarawaleński, czyli Wielki Bernard. Dlatego „wielki", choć mu tego przydomka nie dają, że trząsł Europą Zachodnią przez krótki okres swego życia i wycisnął na niej piętno niezatarte. Dlatego też że to Doktór Kościoła i jak go czasem nazywano - ostatni „Ojciec Kościoła", jeśli zachować to miano dla dawnych pisarzy kościelnych wielkiego stylu, którzy ponadto byli twórcami całego pionu myśli, życia i kultury.

Bernard z Klarawalle to wiek XII. Cysters i ojciec Cystersów. Stąd w Polsce znany po tych licznych opactwach cysterskich, z których mało co pozostało oprócz niektórych budynków, dość mętnych wspomnień, pielgrzymki w Mogile, no i bł. Wincentego Kadłubka, który do nich wstąpił jako biskup krakowski, nie mając jeszcze podówczas gdzie schronić się indziej ze swą modlitwą i pisaniem. Znani też ze sporów polsko-niemieckich XIII i XIV stulecia, bo w Polsce owi we Francji stworzeni Cystersi prawie wyłącznie germańskie okazywali oblicze.

Ze św. Bernardem mam obecnie na pieńku — bo wszak ze świętymi — to ludzie! — kłócić się można. A że zapewne charakter danej postaci nie opuszcza jej nawet w niebie, więc, mniemam, że choć prześwietlony nie tylko łaską Boską, ale i chwałą, może zachować rysy i sposoby działania zupełnie komuś niesympatyczne. Myślę nawet, że w harmonii niebieskiej będzie to specjalna przyjemność dla niektórych świętych o zupełnie sprzecznych ze sobą temperamentach, znajdować się obok siebie nie ze swego nie roniąc i niejako dalej przepychać się u Boga we wpływach na świat — i to bez kłótni. — Walka bez nienawiści i zwycięstwo bez rozgoryczenia — to zapewne sport całkiem niebieski i rajski.

Dość na tym, że nie mogę powiedzieć, bym tu, na tej biednej ziemi, był zawsze mocno zachwycony charakterem i poczynaniami św. Bernarda. Ale cóż, póki żyjemy i tu jesteśmy „w drodze", przeważnie i przez czas długi nasze wady są jak by zewnętrznym pancerzem i pomocą, jak by obroną naszych cnót. I święty idzie ku Bogu ze swym własnym charakterem, który przetwarza i uświęca w pewnych ramach swych duchowych możliwości. — Tylko Pan Jezus, jak to zaznaczył doskonale O. Morawski w swych „Wieczorach nad Lemanem", **nie miał „charakteru"** w tym pomniejszającym znaczeniu, tylko pełną, ludzką naturę ze wszystkimi jej rysami z tą tylko jedną i jedyną wyłącznością, że bez grzechu.

Ale w Bernardzie Klarawaleńskim jest taki podmuch romantyki w najlepszym słowa tego znaczeniu, taki stopień awanturniczości, takie napięcie przygody i Łaski, że warto mu poświęcić choć krótkie wspomnienie w tym dniu 20 sierpnia, gdy obchodzi swe święto (a Pius X przyszły święty — swe odejście z ziemi).

Nie darmo urodził się w Burgundii, skoro był porywającym mówcą lub —można powiedzieć—nie darmo był mówcą, skoro urodził się w Burgundii. Któż nie zna, przynajmniej ze słyszenia, win burgundzkich? Słodkich, tęgich, niezwykle ognistych. Tego winnego miodu, gęstego, lepkiego, no, a w skutkach dziwnego, choć pije się go jak słodzoną wodę, zwłaszcza gdy młody. Gdyby pan Zagłoba był spijał burgunda zamiast węgierskiego tokaju, zapewne miałby jeszcze więcej fantazji i elokwencji.

Na „Złotych Wzgórzach" — tak nazywała się ta okolica i departament dzisiejszy, w Puits St. George, w stolicy księstwa, piernika i musztardy, sławnym mieście Dijon, pije się coś białego, raczej złoto-czerwonego, raczej fiołkowo-brązowego, co dodaje człowiekowi mocnej gatunkowej wagi. Dijon jest starym miastem. Celtyckim, zromanizowanym, później zajętym przez najłagodniejszych z barbarzyńców germańskich, którzy wdarli się w cesarstwo: przez Burgundów, których krew się jeszcze znaczy (razem z winem) po różnych okolicach Szwajcarii, wschodnio-południowej Francji aż hen — po Hiszpanię. A w Hiszpanii zaś „rodzimi" Wizygoci, t. j. najeźdźcy wyłączni niemal i którzy prędko się tam spolonizowali — och, przepraszam — ziberyzowali — coś mają wspólnego rodzinnie z Burgundami. To ta śmietanka germańska, bardziej południowa i jakoś człowiecza, zdolniejsza do obróbki niż szeroki zastęp teutoński.

Boże! Bez nadużywania świętego Imienia, niech ten wykrzyknik znaczy (wszak chodzi o rzeczy pobożne!), że czas skrócić gawędę. Gdzie Rzym, gdzie Krym? Gdzie Bernard, a gdzie wino burgundzkie? Wszak całe życie święty opat pijał wodę i jeszcze w Dijon, w księżycym zamku (muzeum) pokazują jego drewnianą czarkę.

Jednak, nie tak daleko od Burgundów do Bernarda... Wszak imię wybitnie germańskie — B e r n h a r d t. A ci piękni rycerze kędzierzawi, wysrebrzeni i wyherbowani na zachodzie, turniejowi i książkowi, minstrelowi i trubadurscy, grzecznodamscy i pięknomowy, zawołani bohaterzy pieśni i legendy, co obsiadali winne stoki i wzgórza, kędy to się ongiś Wersyngetoryk bronił wraz z

---

JÓZEF ŁOBODOWSKI

POWRÓT DON JUANA

(F R A G M E N T Y)

II.

Don Juanie, piękny don Juanie,
najpiękniejsza z andaluskich gwiazd,
mów, czyś przeżył i doświadczył czyś wiele —,
ile razy okręcał ci biodra Mlecznej Drogi
jadwabny pas,
kiedy taniec
rytmiczny oceanu
uskrzydlone uniósł karawele.

Don Juanie, o, wyklęty don Juanie!
Cały świat zbiegałeś w niepokoju
od rodzinnej Sierry Moreny
aż ku śnieżnym, dalekim Andom...
On na głowę twą nałożyć nie chciał ceny,
ale czekał, raz wyzwawszy do boju,
marmurowy, surowy Komandor.

Ach, naprózno San Salvador i Trynidad
zaręczały się z tobą miłością!
Odpływałeś w złotej galeonie
i już byłeś próchnem i trupem;
jakże teraz ziemia ci się wyda,
jak wyciągniesz wychudłe dłonie,
kiedy skinie ku twoim złościom
Święta Panna od Guadalupe?

Była chwila — spotkałeś człowieka...
Cień twój długo na ścianach tawerny
w nikłym blasku chybotał i tańczył,
ale odszedł
i nie był twej męce zbyt przychylny, ani
miłosierny
groźny przybysz z pustynnej La Manczy.

Więc chadzałeś na dalekie, samotne wyprawy—
i widziałem cień twój, kiedy znikał
w siwym dymie na płonących stosach
i imieniem twojem w wichrze złotej sławy
nad kurzawą barykad
unosiła się niezłomna Saragossa.

Don Juanie, o, wyklęty don Juanie,
kto cię w światy wypędził, kto na mękę cię
skazał,
że nie zdołasz własną siłą zmóc jej,
że jak okręt na wzburzonym oceanie
twego serca płonący Alkazar
wydźwignięty w wieczną rewolucję?

IV.

W mroku gwiazd stoi nocna Hiszpania,
płyną w niebo Gwadiana i Ebro.
Znowu cień twój niespokojny się słania,
Zaprzedany w wiecznej poniewierce
i powierza swe sny drżącym żyłom i żebrom
fanatyczne i gorzkie twe serce.

Rozniesiony na szablach pod Tudelą,
zestrzelony nad Guadalajarą,
twoje ręce śmiertelną świecą bielą
na portretach opętanych Goyi, —
który jesteś straszliwy jak gotyk,
który jesteś poczwarny jak barok,
kto cię, cieniu, dotąd niepokoi?

Odzianemu w żółte sanbenito
przychodziła płomienna jesień;
tyś to pierwszy z głową przykrytą
szedł w procesjach, obłąkane wyjąc hymny,
smutny szatan, kusiciel i mistyk,
objawiałeś się świętej Teresie
i pod lufą mrocznego ekstremisty
przystawałeś, uśmiechnięty i zimny.

I wiedziałeś z tęsknotą i grozą,
gdzie jest los twój, który serce ci okuł
w wieczną rozpacz i wieczny niepokój,
w bunt przeciwko ziemi nieustanny:
— Nie zabłyśnie ci gwiazdami okien
zwiastowane oddawna Tobozo,
nigdy nie zobaczysz donny Anny!

V.

Ku ołtarzom, ku srebrnym katafalkom
donne Annę unieśli Aniołowie.
Który wracasz w ojczyznę, utrudzony walką,
cały w chmurach i mgłach, jak w szarańczy,
czyś nie dojrzał szlachcica na twej drodze,
czyś nie spotkał nigdzie — odpowiedz! —
szalonego przybysza z La Manczy?

Kiedy dzwony żałobne umilkły w katedrach,
o złocistym zmierzchu widziano:
— Ktoś posępny na chwilę przystanął
tam, gdzie el Convidado de Piedra
mieszkał z córką, ktoś w płaszczu i z szpadą
długo patrzył ku surowym ścianom...
...Iros, iros, vientos alados...

Don Juanie, don Juanie, to ty?!
Jak śmiertelnie pobladły ci lica!
Mroczne miasto osnuły kadzidła i mgły,
wieczór wlókł się pochmurny i zły
— niebezpieczna dla Hiszpanii pora —
i już słychać było w głuchych, kamiennych
ulicach
zbliżający się krok Komandora.

Józef Łobodowski

Celtami galijskimi przed Cezarem — byli potomkami barbarzyńskich, Burgundów, co pozdobywali te płachty Imperium, no, i obecnie mało co już zachowali ze swych przodków. Ale krew, choć roztopiona w celtyckiej, rzymskiej i innej— ale krew? Do jakiej grupy jeszcze należała za czasów Bernarda o sfrancuziałym imieniu? Ale rude włosy? Ale jakaś, jakaś daleka progermańska przychylność? I barbarzyńska wyłączność? Zwłaszcza jeszcze w wieku XII-tym, w sześć ,siedem wieków po inwazji i w parę po rozpadzie dwóch królestw burgundzkich?...

Nieraz podkreślano podobieństwa (i różnice) między Dominikiem a Bernardem.

Ten sam rudawy włos, ta sama dość rzadka jasna broda, te same mocne rumieńce i coś z północnego nieba w twarzy. Ta sama mieszanina krwi Germanów najeźdźców — Wizygotów dla jednego, Burgundów dla drugiego — nacyj skuzynowanych z tego lepszego germańskiego gatunku — z tubylcami celto-rzymsko-iberyjskimi. I te same rycerskie wyczyny, gimnastyka woli, rączości wyobraźni, dziedziczona pokoleniami.

Tylko, że w Dominiku de Guzman (przynajmniej trzeci czy czwarty święty swojego imienia) jest coś już bardziej wyrafinowanego, nie w znaczeniu próżnej subtelności, dworskości, bo dworskości miał, być może, Bernard aż nadto i to też podbijało jego słuchaczy: — ale w znaczeniu uduchownienia. Bernard pozostał synem rycerzy, choć w swej sukmanie zakonnej, choć wzdychający za rajskim otokiem aniołów. Dominik miał właśnie coś bardziej anielskiego. Praktyczny, a ledwie dotykał ziemi, choć nieustannie ją pieszo przebiegał. Bernard zresztą przygotowuje Dominika umierając na dwadzieścia coś lat przed narodzinami tamtego.

I w legendzie się dopełniają: w widzeniach ciężarnych swych matek, które są błogosławione obie, Dominikowa, Aza, widziała w swym łonie biało-czarnego psa z pochodnią gorejącą w pysku, który biegł na świat i go podpalał — symbol dominikańskiej reformistycznej, kaznodziejskiej i nauczycielskiej misji. Bernardowa, Alet, widziała psa rudego, też z ogniem, ale warczącego na miejscu. Późniejsi dziejopisowie pobożni wywodzili stąd różnice ich powołania i działalności.

Ale wydaje mi się, że różnica pochodziła też i z natury rzeczy.

Rozochoceni i bogaci, błyszczący panowie burgundzcy, to inny materiał ludzki, niż ubogi szlachcic z kastylskich pustynnych gór, złomów nagich kamieni, nieustannie nawiedzanych grozą tatarskiej, o! przepraszam, arabsko-berberyjskiej inwazji z południa. Choć ród Guzmanów mógł mieć królewskie związki, gałęź Dominika była zubożała, sproletaryzowana, a natura nie dała mu „wżarcia“ się w posiadanie. Będzie ubogi z usposobienia i z usposobienia demokrata arystokratyzujący innych — sercem i umysłem, Łaską. Zupełnie zmieni socjalne zapatrywania Kościoła i nawyki kleru, choć sam od małego w klerykaturze, nie w rycerstwie chowany i w książkach. Wreszcie powietrze d u c h o w e Hiszpanii, z jego jasnością decyzji, powietrze rozrzedzone górami, to nie burgundzkie winnice.

Bernard będzie rwał się do ubóstwa. Będzie wszczynał o to polemiki zawzięte z innymi mnichami, będzie doprowadzał swe klasztory — na krótko — do skrajnego purytanizmu w ozdobie kościołów i kulcie, będzie zmuszał do nachylania się nad rolą orną w pustkowiach nieużytków. Nic jednak na to nie poradzi, że wszczepiony w byt feodalny, przeciwnik studiów w zasadzie, choć geniusz umysłowy — arystokratyzm pański zmieniając na chłopski, będzie ostatecznie w swych synach duchownych **służyć ziemi.** Posiadanie nieużytków,ich obróbka,cóż mogą sprowadzić jak nie bogactwo ziemiańskie, zwłaszcza przy powściągliwości i darmowej pracy wspólnej mnichów? A nagromadzone bogactwo pracy rolnej i plonu, przy braku zainteresowań szkolnych, co może sprowadzić — jak nie kapitał nagromadzony, bogactwo i wszystkie jego następstwa.

Arcypracowici, arcyubodzy w pierwszym pokoleniu, arcyumartwieni Cystersi będą wnet chcieli — po chłopsku — ziemi więcej a więcej, a w drugim i trzecim już staną się obłowionymi nowobogackimi i — próżniakami w swych wspaniałych, kapiących dostatkiem opactwach-księstwach.

Na początku XIII-go wieku ani papież, ani Dominik swym przykładem i namowami nic z opatów cysterskich, spędzonych na misje, wykrzesać nie będą mogli. Ale Dominik pozostanie w przyjaźni z Citeaux, kolebką zakonu, być może nawet będzie chciał mieć afiliację, uczestnictwo zakonne z nimi, choć nie zabraknie i energicznych wymian zdań przeciwnych. Wielki zaś dominikanin Tomasz z Akwinu umierać będzie w opactwie cysterskim, napotkanym na swej pieszej drodze, komentując — cudne komentarze do Pieśni nad Pieśniami Bernarda. Zwłaszcza to kazanie 72, jakie mi w uszach na zawsze dźwięczy — o jaskółkach skalnych, chowających się w swych gniazdach drążonych w kamieniu — podobnie dusza w samotni Bóstwa w ranach Chrystusowych. Widziałem takie jaskółki u wysokich nadbrzeży Wisły, między Dwikozami a Zawichostwem. Anno Domini 1925, gdym bez pieniędzy, okazyjną bryczuszką, podążał na spotkanie pewnej duszy bardziej cysterskiej niż franciszkańskiej — choć się taką mieni, bardziej bernardowej, ale w żadnym wypadku dominikowej. — I wspomniałem kazanie Bernarda, czytane z dominikańskiego rozkazu trzynaście lat przedtem... Takie jaskółki są i w Palestynie, a takie dusze jęczą wszędzie za cieniem.

Wobec jasnej równowagi Dominika pełnej wciąż śpieszącego się spokoju, równowagi pełnej rozlicznych westchnień, niezadowoleń i chęci czegoś innego, Bernard był ekscentrykiem jak i Franciszek z Assyżu, z którym ma pewne wspólne cechy. Jeśli Franciszek życiem swym i wpływem uczłowieczył starą wiarę chrześcijańską, ściągnął niebo na ziemię, zainicjował nadprzyrodzony humanizm i w boskiej postaci Zbawiciela uwidocznił Jego ludzką naturę, cierpienie, bliskość, krew, serce, współczucie to Bernard zrobił to przedtem. Powiedziano o nim, że całe jego życie duchowe było Chrystocentryczne, ześrodkowane w ludzkiej postaci Syna Bożego. I jak rzucał się młody Franciszek zanim znalazł drogę — podobnie przed nim rzucał się i Bernard. Co prawda, obaj „rzucali“ się nieraz, gęsto, często i potem.

Jest zamek w Fontaines-les-Dijon, gdzie na górze — (dziś odbudowanej) — urodził się Bernard. Siedem kilometrów pieszej drogi od miasta. Może ten świeży burgund zdradliwy, właśnie pomoże iść pod słońce. Znieczula, choć nogom nie dodaje rączości.

Zamków starych, zrudziałych lub odnowionych na łach świeży dużo jest po świecie. Na górach i po dolinkach. Przypominają one raczej poszczerbioną odzież św. Rocha-łazika. Ale jeziorko-stawek jest takie tylko jedno. Właśnie pod tym zamkiem. W nim w wieczór mroźny, zimowy, w lodowatą wodę zanurzył się bez wahania dorastający lad Bernard, gdy poraz zapewne pierwszy i jedyny spostrzegł się, że spojrzał i może zbyt długo patrzał — powłóczyście — na kobietę...

Wpakował się w ten stawek, aż przeszło. I wspomnienie nawet i wszystko. Tak zwykł robić Piotr Damian niegdyś z beczką zimnej wody, gdy studiował w szkole, a różnie mu się w uszach rozlegało. Oczywiście podobny stawek piękniejszy jest od tysiąca wód na świecie. Coś go zbliża ze stawkiem Stanisława Kostki, w którym żaby zamilkły na zawsze, by nie przeszkadzać duszy małego, co się wyrwała z mazowieckich piasków. Ile piękna, ile tęskno-



12 i 13 lipca b.r. dokonano otwarcia trumny i rozpoznania szczątków Królowej Jadwigi. Obecni byli: biegli, historycy, wicepostulator procesu O. Zmarz, kapituła metropolitalna, X. Arcyb. Godlewski, X. bp. St. Rospond, przewodn. Trybunału Kościelnego dla inf. procesu beatyfikacyjnego i J. Em. X. kard. A. S. Sapieha. Dnia 14 lipca złożono szczątki Jadwigi w sarkofagu dłuta Madeyskiego. Powyżej — reprodukcja płyty marmurowej sarkofagu z wyobrażeniem Jadwigi.

ty młodzieńczej do Boga, ile zrozumienia ludzkiego, ile poezji jest w tym epizodzie bernardowym. Godne elegii, filmu umiejętnego, a przede wszystkim wspomnienia serca i wdzięczności. Patrzałem na ten stawek. Kto zrozumie dziewiczość młodzieńczą? Kto ją uszanuje? Czy aby „pedagogowie“ nowocześni?... Milczenie nad stawkiem!

Ale Bernard postępował tu z heraldycznym instynktem. Przeciwnika zepchnąć lancą z konia i postawić mu nogę z ostrogą na karku. Tak będzie robił. Można powiedzieć, że pańskie ma fanaberie i śmiałości, gdy w nocy krzyczy — jako młody gość w domu zalotnej hrabiny — „na złodzieja!“, kiedy to dama na zbyt a ukradkiem pragnie rozczulać się nad jego rudą czupryną; lub gdy doprowadza się do stałej choroby kiszek postami, które w klasztorze wtłukuje w siebie jak młotkiem w moździerz. Ekscentryk z bogatego domu! (Franciszek również).

A później, gdy będzie wtłukiwał pokorę w czerepy uczonych i głosił jej niezawodną mądrość, będzie to robił z takim samym impetem rycerskim, który nie znosi sprzeciwu swemu rozkazaniu. Precz z dialektyką, z mędrkowaniem — tak on to nazywa — z księgami. Psalmy i Pismo wystarczą! Oczywiście, gdy się je rozumie tak genialną głową jak jego... Dla mnie to dobre, a więc i wam wara od czego innego!

O biedny Abelardzie! Słynny mistrzu i nieszczęśliwie uwiązany w swe sylogizmy głowy, życia i uczuć! (skądże się te ostatnie wzięły w tym systematycznym filozofie?). Jakże niemiłosiernie będzie cię Bernard u szczytu sławy atakował, nękał, dusił po gazetach ówczesnych (przepraszam, pismach i listach okrężnych) po soborach prowincjonalnych, po scenach kościelnych, wobec zdziwionych i dość chwiejnych biskupów!

A właśnie budzi się nowy intelekt chrześcijański. Wiara, która chce poznać, zrozumieć działanie rozumu i swą różność od niego, a jednocześnie wspólnictwo z nim w podmiocie ludzkim, — a tu Bernard wali po głowach, krzyczy, unosi się i nie pozwala. Racjonalizm, racjonalizm wrzeszczy! Zapewne! Szczypta, odrobina racjonalizmu wzrastała w tych szczenięcych latach scholastyki, nowej teologicznej wytwórni, ale czegoż Bernard nie zrobił z tej wietrznej ospy? Taką się nam dziś raczej wydaje... I miło jest zaznaczyć, że nie protesty Bernarda wzięły górę, choć się i przydały, ale metoda Abelarda właśnie w ujęciu Tomasza z Akwinu.

Ktoś, dowcipny, mógłby może powiedzieć, że Bernard Abelarda zbawił, a znów Abelard Bernarda odesłał do chwały niebieskiej, do uszczęśliwiającej wizji bez cieniów, sam zaś został na placu teologicznego boju. Tak bywa z zelatorami. Odczyszczą instrument, na którym grać nie umieją, sami odchodzą poturbowawszy się wzajemnie z jego właścicielem. Instrument zaś zostaje, a Kościół, większy nad swych Doktorów, zagrać na nim potrafi!...

Gwałtowny Bernard był przedziwnie słodki i miał czar promienisty. Nie darmo Burgundia jest ojczyzną największych mówców Francji. Bossuet jest z Dijon, Lacordaire z Langres, Montalembert i inni znów z innych zakątków tej prowicji. Lamartine zaś z Macon, gdzie wino jest już mniej gęste, ale czar jeszcze chwyta. Bernard był „uwodzicielem“ jak Lamartine i jak Lacordaire, ptasznikiem na młodzież. Ciekawe są te typy męskiej kobiecości niejako. Erosa serc i najsubtelniejszych, najidealniejszych tkanek duszy... Ale czyż ma to być odczyt, dumanie o Bernardzie, wypowiadane na głos, czy tylko krótki artykuł? Niestety! Cóż mi powiedzą srogi Pan Redaktor!

Dość na tym, że miłośnik, piewca, doktór Najśw. Panny, św. Bernard — wkopał się i tu! Jakże miło to podjąć i przypomnieć! Choć ukazywała mu się i objawiała jego Miłość niebiańska, nie mógł w żaden sposób w swą stężałą głowę, choć genialną, ale jednostronną, wpakować poszumu katolickiej wiary o Niepokalanym Poczęciu. Poszum urastał właśnie. Szedł ten powiew morskiej toni prawdy z głębiny wieków, zza horyzontów widzialnych, a dopiero co w Anglii, w Chester, w Canterbury przejmował go jak muszla, spokojny, włoski geniusz Anzelma, innego Doktora Kościoła i notował go w specjalnym traktacie ołówek Anzelmowego sekretarza, anglosaskiego mnicha Eedmera.

Lecz gwałtowny Bernard, zacietrzewiony w swym potępianiu teologicznej spekulacji na temat wiary i używający na to potępianie tego właśnie racjonalizującego rozumku, który sam zwalczał i wołający „wystarczy tradycja! Tradycja!“ — przeoczył jedno: że tradycja wykluwa się jak może w ewolucji wieków, dusz i umysłów: raz tekstem, raz nauczaniem żywym, raz instynktem wiernych i Kościoła, raz znów umysłowym doświadczeniem teologa i myśliciela. Nie jedna jest struna w tej harfie. I wierząc sercem,Bernard przeczył książką, pamięcią, uporem i zatkaniem sobie dobrowolnie oczu. Nie był to jeszcze wówczas błąd herezji, ale jednak błąd charakteru — krótkość jego własnego towaru psychicznego.

Miło jest, pisze stary Lukrecjusz — patrzeć na wzburzone fale i okręt szamocący się z nimi, gdy się samemu wyleguje na spokojnym brzegu. Przyjemnie jest, powtarzam, stwierdzać, jak mylą się Doktorowie Kościoła! Zawsze ich serce, ich wiara więcej warte od ich umysłu, szczególniej wyszczerzonego jak buldogowe zęby na wroga! Miło jest widzieć porażkę „zelantów“! Nawet zelantów skądinąd świętych...

Historii św. Bernarda pisać tu nie chcę. Ani tej boskiej ironii w życiu ironisty czasem gorzkiego wobec innych, że chciał milczeć a krzyczał o tym głośno, a wciąż musiał gadać i pisać, że srożył się, iż życie mnicha winno być tylko w miejscu, a wciąż nosiło go po Francji, po Belgii, po Niemczech, po Szwajcarii, po Włoszech. Że tylko „socha i pokora“ — a prowadził i zbierał wojska, drugą nieszczęśliwą krucjatę (— to Bernarda czyni nam aktualnego w tych palestyńskich zawieruchach), traktował z królami, sądził cesarzy i papieży. Stał się uznawanym superarbitrem Kościoła, państw, politycznego i społecznego ładu, zjawiskiem zgoła rewolucyjnym, trybunem i heroldem boskim, w czasach przełomu moralnego i cywilizacyjnego. Ci jego Cystersi byli wobec starego ładu mnichostwa jak sanki ruchome, choć ciężkie i powolne ale sanki wobec grubej berty starożytnej. Są zakonem przełomu, tymczasowego użytku, aż narodzą się Dominikanie, Franciszkanie, Karmelici, Serwici i podobni im lotnicy świata kościelnego. Z Cystersów zaś wyjdą nieszczęśni templariusze i mnóstwo zakonów rycerskich, które znów są szczeblem do świeckiej Akcji Katolickiej, choć nie zawsze zbyt fortunnym szczeblem... Coś z tego mamy na własnej historycznej skórze zapisane. I nie wszystkie „anty...“ (chodziło o antymuzułmanów) są bezpieczne i twórcze...

Bernard wciąż narzekał, że minęły „dawne, dobre czasy“. Wydawał się szczytem reakcyjności feodalnej. W samej zaś rzeczy ten mnich-dyktator, kończył mnisi okres Kościoła i okres feodalny, a zaczynał okres komunalny, miejski, indywidualistyczny choć związany dobrowolnymi lub naturalnymi wspólotami, z których trysnęły uniwersytety, ruch umysłowy, katedry i ruch społeczny.

Zwykle tak jest, że kto woła „odróbka“ — przywrócenie starego — w istocie proteguje i przysposabia wprowadzenie nowego porządku przez energiczne zastosowanie starych prawideł do nowej gry. Tak i z Bernardem.

Sam był postacią romantyczną. Ruchomy i wdzięczny cień na kwiecistym murze życia. Wielki duch, wielka energia zapewne! Listy jego sięgały i Polski i Łotwy nawet. Energia cudem trzymana w rozpadającym się ciele i cuda wywołująca. Ale nade wszystko był to poeta. Nie chodzi o to, czy ten lub ów hymn — modlitwa pochodzi rzeczywiście spod pióra Bernarda. Chodzi o całkiem coś innego. Nie o poezję ugrupowań gestów, czy słów, czy nastrojów nawet, lecz o tajemną muzykę dostrze-

Dokończenie obok

MARIA CZAPSKA

KARTKI Z PAMIĘTNIKA

Grajku poranny, komu ty tak grasz?
Tam są schody bez domu i piętra bez żywych.
— Tobie gram, najpiękniejsze z urojonych miast,
I najsmutniejsze z prawdziwych.

Cz. Miłosz: „MIASTO".

Warszawa, 15.7.1944

W MIEŚCIE ruch ewakuacyjny. Wszystko w zawieszeniu. Ciężkie upały. Front wschodni: Grodno, Pińsk, Kowel, Tarnopol, Wilno otoczone. Na zachodzie krwawe boje: Caen, St. Lo. Nieustanne bombardowanie Niemiec.

Na murach miasta napisy węglem, kredą, farbą, sztancą: Polska zwycięży! Pomścimy Pawiak! Nie damy Ziem Wschodnich! Wawer, Palmiry, Oświęcim, Katyń! Hitler kaput!

Na przedmieściach P.P.R. W śródmieściu: P.P.R. — Wróg! Wszędzie znak Polski Walczącej. W miejscach egzekucji — krzyże, Ś.P., albo Chwała!

Już dziś nikt nie ściera tych znaków. Ale jeszcze co dnia, coraz to innymi ulicami gna buda policyjna z Pawiaka na Szucha: więźniowie jadą na śledztwo. Budę wyprzedza samochód osobowy, gestapowcy trzymają karabiny maszynowe skierowane na przechodniów. Z daleka słychać ich jednostajny, przenikliwy sygnał; na skrzyżowaniach ulic nawet nie zwalniają biegu.

Strzelanina na ulicach nie ustaje, przywykliśmy do tego. Ludzie wchodzą do bram żeby przeczekać, potem każdy spieszy w swoją stronę; dziś byłam na poczcie, kiedy na Świętokrzyskiej zabili człowieka. Ranny przechodzeń leżał jeszcze na ulicy pod strażą „granatowego", nikt nie pyta, nawet się nie ogląda, każdy mija miejsce zamachu — byle dalej.

Wieczorem komunikujemy sobie nowiny. Był zamach w kawiarni tej a tamtej... Łapanka na Żoliborzu czy Mokotowie, aresztowano NN. Z Pawiaka wyszedł nowy transport do Oświęcimia...

Lipy już przekwitły. Żniwa zaczęte. Noce rozgwieżdżone. Niebo naszej młodości, to samo letnie niebo. Ale dziś suną po nim snopy reflektorów, węszą ostrożnie, zbierają się, cofają i znowu zrywają, macając pośpiesznie obłoki. Niekiedy przeleci z hukiem patrolujący samolot. Miasto śpi czujnym snem. Na pierwszy sygnał alarmu ulica się budzi: szmery, przyciszone rozmowy, w oknach, na balkonach, oczekiwanie. Przelot? Czy nalot? Serce się ściska lękiem i nadzieją.

22.7.

Zamach na Hitlera. Rewolta w Niemczech stłumiona masakrą. Alles für den Endsieg! Totaler Einsatz! — trąbi Goebbels w Reichu,a za nim cała prasa.

W Normandii jakby zastój. W Italii: Piza, Ankona, Arezzo. A u nas już są w Brześciu, już zajęli Lwów i Lublin.

23.7.

Mostem Poniatowskiego i Jerozolimską ciągnie sprzęt najróżniejszy, od olbrzymów opancerzonych na gąsienicach aż do maleńkich dwukołowych taczek zaprzężonych w kosmate koniki; wozy drabiniaste, wózki białoruskie z „duhami", szlacheckie bryczki i dworskie konie; na wozach jakieś kobiety i dzieci w żołnierskich szynelach, przy działach idą krowy i kozy, konie i muły. Débâcle! Na skrzyżowaniu ulic zwarty, milczący tłum. Twarze nieprzeniknione. Twarde spojrzenia.

Na oczyszczonym z gruzów rumowisku pomiędzy Wierzbową a Trębacką koczują budy uchodźców: Widzieliśmy takie budy kiedyś, na naszych brzozowych traktach białoruskich. Był to rok 1915, fala uchodźców szła wtedy z zachodu na wschód, potem w Polsce, w 1920, uciekano ze wschodu na zachód, w 1939, wygnała wojna raz jeszcze ludzi z zachodu na wschód, a ci uchodzą znowu ze wschodu na zachód.

Koło sztabu generalnego na trawnikach otoczonych drewnianymi balaskami pasie się kilka owiec. Ostatni łup wojenny. Wracam późno z Bielańskiej do domu; chmurny, duszny wieczór. Po niebie drgają błyski letnich błyskawic. Na pustym placu jeździec z pochyloną głową wznosi swój krótki rzymski miecz.

W A K zarządzono ostre pogotowie. Czekamy.

25.7.

Urzędy się ewakuują. Poczta nieczynna, telefony zawieszone. W Chełmie zjawił się już „rząd" z Wasilewską, Rzymowskim i Żymirskim, „rząd" wyłowiony ze „Związku Patriotów" w Moskwie. Radio moskiewskie zagrzewa do powstania przeciwko wspólnemu wrogowi, podkreśla najlepsze intencje Związku Radzieckiego w stosunku do krajów wyzwalanych... Pani Helena G., która ma dostęp do jakiegoś niemieckiego aparatu, zachwycona porywającą wymową speakera moskiewskiego, jego świetną polszczyzną. Audycje polskie z Moskwy są jakoby nieporównanie lepsze od londyńskich; pani Helena entuzjazmuje się dla idei fuzji obu rządów, dowodzi konieczności porozumienia...

Biuletyn Informacyjny wzywa do karności i spokoju. Opisuje wypadki wileńskie, uprzedza, że polskie formacje armii czerwonej zajmą prawdopodobnie Warszawę, ze sztandarami i Matką Boską Częstochowską, wyjaśnia konieczność odróżnienia oficerów-politruków od żołnierzy, powołanych z przymusu na ziemiach wschodnich, albo tych, którzy wstąpili w Rosji do czerwonego wojska polskiego, by móc wrócić do kraju.

W mieście nastrój wielkiego przygnębienia.

Dwukrotne nocne bombardowanie sowieckie bez żadnego sygnału alarmowego. Czyżby już nie było obrony przeciwlotniczej?

Bliskie wybuchy wyrywają nas z pierwszego snu, rakiety świetlne, huk motorów potęgują wrażenie zagrożenia. Pierwszy raz schodzę do „schronu", tak wstrętne mi jest to brudne przejście między piwnicami.

29.7.

Mikołajczyk z Romerem w Moskwie. Różne pogłoski dotyczące konferencji. Naprężenie. Już słyszymy artylerię frontową. Czyżby tak dano im wyjść z Warszawy bezkarnie? Wszędzie widać, jak ładują i wywożą co się da: umeblowania biurowe, maszyny do pisania, produkty żywnościowe — zaciskamy pięści. Kiedyż nareszcie!?

Niedziela. Słoneczny ranek. Wracam z Kościoła Św. Krzyża. Przy ulicy Traugutta, róg Nowego Światu, stoją trzy wozy wojskowe. Na błotnikach, na stopniach, na ziemi, śpiący niemieccy żołnerze. Śmiertelne znużenie bezwładnie opuszczonych ramion, zwieszonych głów, twarze poorane obok dziecięcych niemal, zaszargane mundury. Zdaleka musieli przyjechać, żeby paść na spoczynek tu — na warszawskiej ulicy!...

Olśniewająca pogoda. Spotykamy zażywną parkę: „Wstąpimy na chwilę do kościoła ,a potem na lody" — decyduje pani.

Niemcy gotują jakoby przeciwnatarcie w łuku Wisły, ściągnęli na ten cel duże rezerwy. Ilu jeszcze zginie na polskiej ziemi, w tym „Weichselraumie"?

„Pazurami wczepimy się w tę ziemię, za dużo nas krwi kosztowała, byśmy jej mogli poniechać" — wykrzykiwał gubernator Frank w jakimś niedawnym orędziu („Wir werden uns an diese Erde ankrallen"...).

Uderzył mnie w prasie niemieckiej znamienny wiersz pisany przez żołnierza pod tytułem „Stell dich seinem Blick": — porównanie orła, władcy ptaków, władcy żądnego krwi — do śmierci — pani żywych.

„Nie ujdziesz jej, więc spójrz jej prosto w oczy, by cię w kark nie poraziła jej strzała..."

Jakże zastanawiające jest to pokolenie wydane śmierci i przyjmujące ją z mistyczną wiarą w konieczność ofiary.

Człowiek gotowy oddać życie dla swej idei, wpływa z konieczności na bieg wypadków; taki człowiek nosi w sobie niewymierną siłę.

Wielokrotnie czytałam w prasie niemieckiej przy zawiadomieniach śmierci żołnierzy te słowa św. Pawła z II Listu do Tymoteusza: „Potykaniem dobrym potykałem się, zawodu dokonałem, wiarę zachowałem". Albo z I Listu do Koryntian: „Pożarta jest śmierć w zwycięstwie. Gdzie jest zwycięstwo twoje, śmierci, gdzie jest, śmierci, oścień twój?".

„Gefallen für Fuehrer und Vaterland" — głoszą żałobne klepsydry. „Mit stolzem Trauer" — podpisuje niezmiennie rodzina poległego.

Bezdroża ludzkiej wiary i nadziei!

„...Zawsze byłem zdania, że idea Wielkiej Rzeszy warta jest ofiar wojny, — pisał młody dziennikarz niemiecki, poległy w Rosji — pogardzałem ociągającymi się. Dlatego ponoszę częściową dziś odpowiedzialność za wypadki...

Niezapomniane spędzałem chwile w jasnozielonych lasach, wśród mnóstwa kwiatów najprzeróżniejszych barw, polanki lśniące jak łąki w bajkach. Serce moje było wtedy zjednoczone z Bogiem i pogodzone z moim przeznaczeniem. We dnie deszczowe i na pniu zwalonego drzewa zaprzyjaźniłem się z Horacym: „Aequam servare mentem in rebus arduis" (Zachować równowagę ducha wśród ciężkich okoliczności)...

Nieopisany jest zapach pola bitwy, zwłaszcza w godzinach południowych. Każdy wietrzyk niesie w sobie jakiś półton rozkładu i śmierci.

Męstwo to nie jest coś niezmiennego, coś co jest dane jednym a odmówione innym, musi się ono co dnia rodzić od nowa..."

Ten niemiecki intelektualista był też „człowiekiem wierzącym i nadzieję mającym", ale wiarę swą i nadzieję bezbożnie położył w człowieku.

Zuli G., kiedy była na robotach w katolickiej Turyngii, mówili tamtejsi chłopi dobrodusznie: straciliście niepodległość, to trudno, pogódźcie się z tym, za to spełnią się niebawem słowa o jednym pasterzu i jednej owczarni...

Czyżby Hitler był już jednym z owych zapowiedzianych w Ewangelii „fałszywych Chrystusów", czyniących „znamiona wielkie", którzyby „zwiedli" (by można) i wybrane"?

Proroctwa mają nadal ogromne wzięcie. Pani S. bada niestrudzenie Apokalipsę. Niestety, dawno już minęły owe „czterdzieści dwa miesiące", po których miała się załamać władza „bestii", (może czas apokaliptyczny liczy się inaczej?),„bestia" nadal sprowadza „ogień na ziemię" i bije tych, którzy się nie kłaniają „obrazowi jej ", a wolni i niewolnicy muszą brać „piętna na prawą rękę swoją, albo na czoła swe, albo imię bestii, albo liczbę jej...".

Stronnicy Apokalipsy dowodzą, że przepowiada też samoloty pod postacią opancerzonej żelazem szarańczy, której szum skrzydeł jest „jako grzmot wozów, gdy wiele koni bieży do bitwy", szarańczy, mającej żądła w ogonach i wielką moc szkodzenia ludziom, że opisuje ziejące ogniem, dymem i siarką potwory (czołgi) i nawet barwne płachty ochronne „pancerze ogniste hyacentowe i siarczane".

*

„A którzy czekali błyskawic i gromów,
Są zawiedzeni.
A którzy czekali znaków i archanielskich trąb,
Nie widzą, że staje się już..."

Cz. Miłosz: „PIOSENKA O KOŃCU ŚWIATA".

1.8.

Andrzej wyszedł na swój punkt zborny o w pół do czwartej — nic mi nie zdradziwszy. Kiedy zastałam tego wielkiego chłopca modlącego się przy łóżku jak grzeczne dziecko, wiedziałam, „że staje się już"..

Radio moskiewskie, stacja „Kościuszko", nadało poprzedniego dnia płomienny apel skierowany do Stolicy:

„Ludu Warszawy, do broni!

Niech ludność cała stanie murem wokół Krajowej Rady Narodowej, wokół warszawskiej Armii Podziemnej.

Uderzcie na Niemca, udaremnijcie ich plany zburzenia budowli publicznych. Pomóżcie Czerwonej Armii w przeprawie przez Wisłę.

Przesyłajcie wiadomości, pokazujcie drogi. Milion ludności Warszawy niechaj się stanie milionem żołnierzy, którzy wypędzą niemieckch najeźdźców i zdobędą wolność!"

Powstanie miało wybuchnąć w nocy ,ale w obawie, by Niemcy nie zostali o tym uprzedzeni, przyspieszono wybuch o kilka godzin i naznaczono go na 17-tą, czas fatalny dla ogromnej większości mieszkańców miasta.

Na naszym odcinku zaczęło się już o 16-tej, na Żoliborzu o 15-tej, prawdopodobnie każdy chciał być pierwszy.

Wyszłam z domu jak zwykle przed 16-tą, żeby wysłuchać na Placu Napoleona szczekaczki *), ale nim doszłam do Placu — stało się już...

Zaczęło się od zdobycia Prudentialu, który był przeważnie zajęty przez biura niemieckie w owe dni już opróżnione. Z Prudential'u szła potem walka o gmach poczty.

Nasi chłopcy atakowali od Świętokrzyskiej na tyły poczty. Mieli kilka rewolwerów i ręczne granaty. Paru poszło uzbrojonych w łopatki do węgla. Broń mieli zdobyć na Niemcach.

Obserwuję z okna na podwórze wycofujący się patrol niemieckich żandarmów: tłuste knechty, uzbrojone po zęby, wdrapują się niezgrabnie po splotach dzikiego wina na mur, żeby przeskoczyć do ogródka na Mazowieckiej 4.

Koło 23-ej ulewny deszcz, walka cichnie. Od południa-zachodu — łuny.

Dziś rano otrzymałam dwa message'e przez Czerwony Krzyż via Kair. Data ostatniego 21-go marca. Właśnie dziś! A teraz już nasi na Bliskim Wschodzie, w Italii, Anglii, Francji wiedzą, że Warszawa powstała.

2 8

Zdobycie PKO na Świętokrzyskiej i dalsze uciążliwe zdobywanie poczty. Przygotowuje się akcja na Komendę Policji na Krakowskim, na Arbeitsamt (Bank Rolny na Mazowieckiej).

Cała Warszawa pocięta w szachownicę. Oni mają w ręku Ogród Saski, Plac i oba hotele, teren Uniwersytetu, kościół św. Krzyża, gmach Zachęty. Nowy Świat w barykadach, ale z wież kościoła strzelają ich ciężkie karabiny. U wylotu Czackiego na Traugutta, barykada. Bank Handlowy i KKO, oba narożniki, to nasze punkty oporu. Obawiają się, że ich tanki wedrą się na Czackiego. W naszym dużym salonie, pokoju narożnym od „Dowcipu", dziś garderobie, graciarni i śpiżarni chłopcy urządzają zasadzkę, znoszą butelki z benzyną i granaty.

Polskie sztandary na Prudential'u i PKO budzą entuzjazm. Śpimy ubrane.

Od rana słowa polskiej komendy w naszej bramie. Rozpromienione twarze tej młodzieży powstańczej, dosłownie wyszła z podziemi i ogarnęła nas jak ogień. Po pięciu latach poniewierki, zginania karku, tajenia słów, spojrzeń, uczuć — to upojenie jawną walką. Rewolwer — to skarb! Radosna wzajemna uczynność. Młode dziewczęta, łączniczki, donoszą amunicję i rozkazy, śmigają jak przepiórki przez ostrzeliwane ulice. Kilka czołgów spalono w śródmieściu, siłami takich dzieci i butelkami benzyny. Wyskakuję do Hali, sypie się tynk. Gwizd kul i huk zbliżającego się frontu. Władze Hali kazały jej się zabezpieczyć w ciągu tych kilku ciężkich dni. — Należy do drugiego rzutu, który zostanie w konspiracji.

Ktoś na fortepianie zwycięsko gra poloneza Ogińskiego, potem Warszawiankę. Podjazdy sowieckie docierają podobno do przedmieść Pragi.

Na murach rozlepiono afisze:

W a r s z a w a
K u t n o
T o b r u k
M o n t e C a s s i n o
W a r s z a w a !

— — — — — — —

Maria Czapska

*) Megafony umieszczone na kilku placach w mieście, które podawały 4 razy na dzień komunikaty wojenne.

żeń boskich. O wyrażenie życiem i słowem Niewyrażalnego. Innymi słowy o realne i obiektywne życie i przeżycie, znanie i doznanie mistyczne. To jest chwałą Bernarda.

Ten rewolucjonista-legitymista stworzył na początku czasów nowożytnych, poczynających się w roku 1200-nym, w XIII-tym wieku właśnie, oręż dusz najbardziej personalnych, uciekających od legitymizmów ludzkich ku boskim... Stworzył hymn Kościoła w ruchu.

Dlatego też Dante umieścił go u szczytów swego Raju, w nasadzie Białej Róży Świetlistej, w kręgu, że tak powiem, kwietnej loterii Łaski Boskiej, jak prowadzi do Najśw. Panny, skąd wprost jest wylot ku tajemnicom Trójcy Świętej w Jedności Boskiej Istoty Miłości...

Cyryl Wodziński

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

W BALZAKOWSKĄ ROCZNICĘ

SĄD BALZAKA O POLAKACH

FRANCJA, a z nią cały świat literacki, obchodzi obecnie stulecie Balzaka. Co dopiero właśnie zakończył się pierwszy Zjazd Balzakowski w jego rodzinnym mieście Tours. Rocznicowe te obchody odznaczają się tym, że - jak to już o tym w ŻYCIU była mowa - trwać będą - całych 15 miesięcy. Dzieje się tak dlatego, że łączy się stupięćdziesięciolecie urodzin przypadające właśnie teraz ze stuleciem zgonu, który nastąpił był w r. 1850. Trzeba żywić nadzieję, że ta długa uwaga skierowana na twórcę „Ludzkiej Komedii“ pozostawi po sobie szereg prac poświęconych jego dziełu.

Nie może wśród tych badań brakować i prac polskich: byłaby to z naszej strony duża niewdzięczność i wobec Balzaka i wobec naszej sprzed lat stu poprzedniczki, Wielkiej Emigracji. Jest rzeczą zastanawiającą, i wciąż jeszcze nienależycie docenioną, że Polacy są wszechobecni na kartach „Ludzkiej Komedii“!

Jedna Francja cieszy się większą tam obecnością, co jest oczywiście zrozumiałe. Ale Polska unosi się wciąż, bezpośrednio czy pośrednio, nad tym wspaniałym dziełem, jedynym, które może stanąć obok Szekspira, jako dokument ludzkiej psychologii. Ten fakt uczestnictwa polskiego w myśli twórczej Balzaka tłumaczy się tym, że cała „Comédie Humaine“ powstała w cieniu długiej, kilkanaście lat trwającej miłości Balzaka do Eweliny Hańskiej, z domu Rzewuskiej, siostry autora „Listopada“ i „Pamiętników Soplicy“. Stosunki Balzaka i pani Hańskiej zostały, po jej owdowieniu, uwieńczone małżeństwem — tragicznym, bo zawartym na parę miesięcy przed nagłą i przedwczesną śmiercią autora „Cousine Bette“.

Dodajmy odrazu rzecz ważną. Balzak nie jest ani w najmniejszej mierze polonofilem. Nie bierze żadnego udziału w jakiejkolwiek akcji propagandowej na rzecz Polaków. Można w tym widzieć dowód taktu pani Hańskiej, czy też szukać tu symptomu odporności twórczej Balzaka. Jeżeli Polskę odnajdujemy u podstawy balzakowskiego dzieła, u jego korzeni i źródeł, czy też w jego tle - to tylko dlatego, że istotnie **kompleks** zagadnień polskich Balzaka prawdziwie **zainteresował**. Wynika stąd z kolei, że sądy jego o Polakach nie są ani entuzjastyczne ani idealizujące. Są one w balzakowskim ujęciu rzetelne, mogą być - i są - nieraz mylne, ale zawsze odpowiadają temu, co Balzak myślał, temu, do czego w swych rozważaniach psycho-socjologicznych o Polakach dochodził.

Przypominamy i to, że istnieje już duża książka poświęcona pani Hańskiej i jej roli w życiu i twórczości Balzaka. Książka ta („Balzac et le monde slave“) napisana została przez Polkę, wykładającą po dziś dzień w Szkole Języków Wschodnich w Paryżu, p. Zofia Korwin Piotrowską. Niemniej — bardzo jeszcze wiele da się odczytać polskiego w egzegezie balzakowskiej.

Zająć się tu dziś pragnę jedną tylko powieścią Balzaka, jedną z ostatnich i najwspanialszych, „Kuzynką Bietką“, jak chciał Boy Żeleński w swoim przekładzie („Cousine Bette“). Powieść ta wyszła przed stu laty w r. 1847. Rzecz dzieje się współcześnie, w latach 1838-1846.

Otóż i tu - Polska jest wszędzie, w dobrym i złym. Przede wszystkim w tym, co dla Balzaka realne i tragiczne, tragicznie realne.

Jest to dzieło znakomite, mieniące się bogactwem motywów i obserwacji. Jest tam Balzak prawie epikiem swojej epoki, bo nie ogranicza się do jednego konfliktu czy wątku. Rozkłada swoją uwagę twórczą na szereg postaci i charakterów, wiążąc je we wspólny ośrodek społeczny. Mamy więc tam, przypominam po krótce, nieprześcigniony obraz postaci tytułowej, starej panny mściwie nienawidzącej wszystkich za szczęście i radość, które nie stały się jej udziałem. Mamy przerażającą analizę paryskiego zepsucia i starczego, rozpustnego barona Hulot, niszczącego spokój i szczęście całej swojej rodziny, żony i dzieci, mimo wciąż ponawianych postanowień poprawy. Mamy i przedstawicieli najniższych mętów paryskich we wszystkich odmianach, od świetnej i artystycznej kurtyzany do bardzo ponurych ladacznic i pośredniczek.

Na tym całym bujnym tle realizmu w wydaniu prawie naturalistycznym, jest i kącik pewnej wzniosłości tryskającej z głębi duszy ludzkiej, mimo jej słabości i bezwolności. W tym właśnie i tragedia. I tu właśnie odnajdzie się — Polak.

Jest mianowicie w „Kuzynce Bietce“ i dramat artysty, rzeźbiarza, który tworzy tak długo, jak długo jest w nędzy i nieszczęściu. Cóż bowiem innego mógłby robić jak nie tworzyć? Jedyna pociecha. Skoro tylko, zrządzeniem losu, napotyka na dobrobyt i powodzenie, — momentalnie usycha i jałowieje... Zawiesza o ten dramat Balzak rozważania przejmujące i nieraz dotkliwie prawdziwe o psychologii twórczości. Cóż za bogactwo, cóż za przepych inwencji, intuicji i obserwacji w tym dziele!

Hrabia Wacław Steinbock, ten właśnie artysta-rzeźbiarz, jest Polakiem, z tej odmiany Polaków, których i dziś jeszcze znamy jako tzw., „baronów bałtyckich“. Przebył oczywiście Powstanie Listopadowe, bo jest gorącym patriotą, skoro tylko idzie o ofiarę krwi i życia. Do Paryża przybył, via Drezno, w dużej mierze piechotą w r. 1833. Wydawszy co miał — popełnia nieudaną próbę samobójczą. Kuzynka Bietka ocala go, pomaga mu, opiekuje się nim — no i wreszcie przywiązuje się do niego. Przywiązuje tym silniej, że jest o tyle od niego starsza. Zmusza go do pracy wiecznym powoływaniem się na długi wdzięczności wobec niej. Steinbock jest nieszczęśliwy — ale pracuje. Staje się czymś w rodzaju niewolnika jej opieki. Są to jedyne miesiące szczęścia dla Cousine Bette.

Niestety to szczęście pryska. Młoda piękna Hortence Hulot, córka barona i baronowej Hulot, kuzynka Kuzynki Bietki, poznaje Steinbocka, wykrada go Bietce i wychodzi za niego. Stąd zemsta Bietki. Zemsta potworna: świadomie wprowadza Steinbocka w salony kurtyzany, pani de Marneffe, by zdradził żonę i zniszczył jej i swój spokój. A nuż wróci do Bietki?

Steinbock — na tym polega jego słabość, ponoć „sarmacka“ — wpada we wszystkie sidła, bezwolny, słaby, wiotki, niemęski, ale zawsze pełen uroku i dystynkcji.

Nie sposób tu wyczerpać całej kopalni szczegółów zaobserwowanych przez Balzaka na tym preparacie psychologicznym owego rycerskiego, arystokratycznego, artystycznego Polaka. Musiał takich emigrantów Balzak obserwować sporo. Niektórzy widzą w słabości Steinbocka wizerunek jednego z braci pani Hańskiej, Adama Rzewuskiego. Inni sądzili, że jego zmarnowany talent odpowiadał w tych latach 40-tych zeszłego stulecia — hrabiemu Walewskiemu, synowi Napoleona i pani Walewskiej, który, za Ludwika Filipa był trochę cyganem literackim i autorem nieudanej sztuki dramatycznej (**„L'ecole du monde ou la conquete sans le savoir“**), zanim, po śmierci Balzaka, stanie się ministrem spraw zagranicznych Napoleona III...

Musimy się tu jednak znów ograniczyć do najważniejszego, do pewnej dłuższej diagnozy polskości, którą nam dał Balzak à propos Steinbocka. Wśród fantastycznych naiwności — też charakterystycznych bo tak się o Polakach mówiło przed stu laty — znajdą się tam ziarna przerażającej prawdy. I to prawdy, której autentyczność stała się przejmująca w obliczu ostatniego naszego dziesięciolecia, po latach stu...

W skrócie jednego zdania przedstawia się to tak: „...montrez un précipice à un Polonais, il s'y jette aussitot. Ce peuple a surtout le génie de la cavalerie, il croit pouvoir enfoncer tous les obstacles et en sortir victorieux“, — „pokażcie Polakowi przepaść, od razu w nią skoczy. Naród ten posiada przede wszystkim geniusz kawaleryjski; myśli zawsze, że potrafi przełamać wszelkie przeszkody i wyjść z nich zwycięsko“. Jest to zapewne ogromny hołd złożony polskiej brawurze. Czyż trzeba dodawać, że nie tylko hołd? Po latach stu musimy znów, po r. 1944, zastanawiać się nad tymi samymi wobec nas hołdami i umiejętnie z nich odmierzać, ile w nich komplementu, a ile krytyki.

Tę błyskawicę jednego zdania rozprowadza jednak Balzak znacznie szerzej: „Polak posiada w swym charakterze niejedno dzieciństwo, a też i niestałość młodych narodów. Odznacza się odwagą, dowcipem i siłą. Ale jakby porażone tą nieuchwytną niestałością (inconstance, inconsistance) i ta odwaga, i ta siła, i ten dowcip nie mają metody ni kierunku. Polak bowiem — i tu u Balzaka działają wspomnienia z Ukrainy, którą znał z opowiadań o Wierzchowni — wykazuje ruchliwość podobną do wichru pędzącego po stepie: posiada on gwałtowność burzy śnieżnej porywającej domy na kształt lawiny, ale potrafi też zanurzyć się i zginąć w pierwszym napotkanym po drodze stawie...“

„Człowiek nabywa zawsze czegoś od otoczenia — milieu — w którym żyje“, zaznacza Balzak przed Taine'm a po Monteskiuszu. „Na skutek ustawicznych walk z Turkami, Polacy przyjęli od nich lubowanie się we wschodnich wspaniałościach. Lubią oni poświęcać najpotrzebniejsze rzeczy dla blichtru, ubierają się i zdobią jak kobiety, a przecież ich klimat dał im twardą konstytucję Arabów! To też, Polak wspaniały w cierpieniu, umie zmęczyć i zmordować ramię tego, co go gnębi: umie on, w XIX wieku, powtórzyć męstwo pierwszych chrześcian“.

Ale też i tylko tyle. Czegoś im brak, tym Polakom, czegoś, co jest nieskończenie mniej piękne i mniej bohaterskie, ale bez czego żyć się nie da wśród brzydkich rzeczywistości życia nowoczesnego:

„Wprowadźcie dziesięć procent angielskiej podstępności (sournoiserie) do polskiego charakteru, tak szczerego i tak otwartego, — a zobaczycie orła białego unoszącego się zwycięsko wszędzie tam, gdzie wślizgnął się orzeł dwugłowy. Odrobina macchiavelizmu przeszkodziłaby była Polsce w oswobodzeniu Austrii, która ją potem podzieliła, a też i zapożyczaniu się u Prus, które ją podminowały. Tak jakby — i tu nawiązuje Balzak do znanej francuskiej baśni — przy chrzcie Polski wróżka Carabosse, której zapomniano zaprosić, powiedziała była temu narodowi: „Zachowasz wszystkie wspaniałe dary, których ci siostry moje wróżki użyczyły, ale za to — nigdy nie będziesz Polsko wiedziała, czego właściwie chcesz“.

Jakaż na to wszystko rada? Balzak receptę przepisuje polityczną, jako urodzony monarchista: „Z dniem, kiedy ten naród, złożony prawie wyłącznie z sangwiników, zdobędzie się na tę szczyptę rozsądku, by poszukać w swym łonie jakiegoś Ludwika XI, zgadzając się na jego tyranię i dynastię, z dniem tym, naród ten będzie zbawiony“. W zdaniu tym mieści się wszakże i krytyka historyczna, której prawdziwości trudno zaprzeczyć. W historii naszej wieku XVI i XVII brakło tej monarchii mniej lub więcej absolutnej, która uzbroiła naszych sąsiadów i zaborców, Polskę pozostawiając bezbronną w rękach szlacheckiej, jakże miejscami szlachetnej, Rzeczpospolitej...

Cóż by powiedział Balzak dziś o Polsce? Nie trudno zgadnąć. To mianowicie, że na ten rozsądek zdrowej państwowej polityki, regulującej szaloną **odwagę i wspaniałą** ofiarność Narodu, — Polska się dotąd nie zdobyła. Temperament narodowy został się ten sam: w imię porywów i odruchów bohaterstwa bije się nienawistnie po dawnemu w te prądy i te stronnictwa i tych działaczy, którzy reprezentują państwowo twórcze cechy narodowego instynktu samozachowawczego. Wszak w takiej płaszczyźnie odgrywał się i w naszej historii i w naszym życiu zbiorowym wielokrotnie ponawiający się dramat powstańczy.

Kończąc, raz jeszcze podkreślamy wszechobecność elementu polskiego w „Komedii Ludzkiej“. Jest to naprawdę zaszczyt niemały. Dawno już temu, nie kto inny tylko Hipolit Taine zauważył był, że największą składnicę wiadomości o psychologii ludzkiej obok Szekspira stanowi Balzak. Zdanie to dziś prawdziwsze jest niż kiedykolwiek. Niezmiernie godną uwagi jest rola odegrana przez wątek polski w „Ludzkiej Komedii“. Tak, jakby u Szekspira istniał był nie tylko wyjątek — mało pochlebny a prowenjencji tajemniczej — Poloniusza i wzmianka o polsko-norweskich wojnach w Hamlecie, — ale

Dokończenie obok

JAN WEPSIĘĆ

UŚMIECH KENSINGTONU

MOŻE nigdzie w Londynie tak bez zgrzytu, tak harmonijnie nie splata się dawność z teraźniejszością, jak w królewskim Borough of Kensington. Wiejski związek z przyrodą dotyka się tu prawie ręką w Kensington Gardens, Holland Gardens, w dziesiątkach oaz zieleni, jak Cornwall Gardens, czy Lexham Gardens i mnóstwie „private gardens" przeplatających Kensington od Old Brompton Road po Holland Park Avenue z uroczymi Auberey Road, Hillsleigh Road, Campden Hill Place i niezapomnianą Holland Walk. Niektóre z tych parków czy ogrodów wiekowe, często ogrodzone jeszcze płotami z łozy, ale koniecznie z żelazną wysoką bramą czy furtką, jak przy Collingham Gardens czy Ashburn Place. Pisane i ustne przepisy określają kto i kiedy może korzystać z private gardens. Największe prawa mają dzieci w wózkach i — psy na smyczy.

Dawność odczuwa się nie tylko na Holland Street w jej siedemnastowiecznych kamieniczkach, ale głównie w plątaninie różnych avenues, places, squares, lanes, walks, villas, terraces, crescents, groves, rows; stoją na nich małe domki, często z ganeczkami, z koniecznie codziennie mytymi schodami. W tych ogródkach teraz pełno kwiatów, a grodzone są najprzeróżniej, to żelaznymi sztachetami, to drewnianym parkanem, kawałkiem siatki czy kratą z cienkich listew drewnianych, jak naprzykład przy Victoria Grove czy Bedford Gardens.

Uroku zieleni dodaje Kensingtonowi winna latorośl.Niegdyś,przed reformacją była ona podstawą produkcji wina.Kiedy purytanizm w szlachetnym napoju dopatrzył się szatańskiego źródła grzesznej radości życia, zarzucono jej uprawę. Dzisiejsza Anglia pije ciężkie wina hiszpańskie, a winna latorośl upiększa tylko ściany domów, zamiast rozweselać głowy, pienić się w nich strugą wesołych myśli, huczeć żartem i śmiechem.

Odrębny typ ulic stanowią ślepo zamknięte mews. Niegdyś były to stajnie dla koni, z mieszkaniami woźniców na piętrze. Dziś to — albo jeszcze stajnie, albo częściej garaże. Brak ogródków wynagrodzono sobie malowanymi na zielono skrzynkami, a w nich, przed oknami, grają kwiaty swoje barwne opowieści.

W dawność Kensingtonu wciska się nowożytność. Jej najłagodniejszą formą są bloki mieszkaniowe wielkie i ciche, jakby bezludne.

Pogranicze wielu dziedzin: cichego zakątka, ruchliwego miasta, handlu i bezinteresowności sztuki, techniki i czystej nauki — reprezentuje dzielnica muzeów na South Kensington. Każde muzeum - to odrębny świat. Wielkość, bogactwo i piękno przyrody skamieniały na wieki we wspaniałych okazach the Natural History Muzeum i the Geological Muzeum. Najśmielsze, zuchwałe i w epokach swych narodzin często bezbożne marzenia wynalazców, obecnie w realnych kształtach ręką dotykanych mówią do nas poprzez modele the Science Muzeum. O tysiącznych próbach i zmaganiach w ciągu całych tysiącleci, by znaleźć wyraz wieczystego piękna świadczą zbiory Victoria and Albert Muzeum.

Inny świat — to Kensington Church Street, z jej sklepami starego srebra, dawnej porcelany, kryształów, zabytkowych mebli i przeróżnych antycznych rupieci.

Na Kensingtonie kościołów dużo. Upodobały sobie styl gotycki. Szare ich wieże bodą niebo jakby nagimi, dziwnie długimi lancami. Oko nie ma gdzie spocząć. Brak im bowiem koron z małych wieżyczek, do których wzrok przyzwyczaił się w Polsce. Ciągle jeszcze rwą się ku niebu, choć wyziąbł żar religijny, jaki targał duszą angielską w w. XVII.

Kościoły stoją na uboczu. (Nie w znaczeniu rozmieszczenia miasta, lecz w sensie ich roli w życiu duchowym londyńczyków. Dlatego są takie zimne.) Nie stały się nawet miejscem zewnętrznej, ceremonialnej strony religijnej, ani, jak włoskie, nie są galeriami sztuki. Purytański powiew przeszkodził temu. Wymiótł z nich człowieka, zostawiwszy tylko zimną, martwą — „ideę" Boga. Spirytualizm, ten straszny bożek purytanizmu, i w ogóle protestantyzmu, ugodził w sam rdzeń zdrowego stosunku człowieka do Boga i Boga do człowieka.

Arystokratyzm Kensingtonu odbił się i w dziedzinie wyznaniowej małą ilością kościołów metodystów. Wesleyański metodyzm jako religijny ruch warstw robotniczych nie miał na Kensingtonie podatnego pola. Próbował zapuścić i tu korzenie, ale uwiądł, zostawiając na pamiątkę obok innych kościół przy Denbigh Road czy maleńką, pustą i odrapaną the Wesleyan Chapel przy Old Court Place. Kensingtonowi do twarzy z Church of England, ale nie z wesleyańskim metodyzmem.

Nowożytność angielskiego businessu pokazuje swą twarz na Kensington High Street w wielkich domach handlowych Barkera, Pontinga,Derry i Toma,będących Mekką dla sprawunkiewiczów z całego Kensingtonu, na stacji angielskich dróg lotniczych BGA, w olbrzymim ruchu samochodów ciężarowych, autobusów i taksówek. A jakby na podkreślenia, że kultura ludzka lubi stare utarte drogi — High Street biegnie śladem rzymskiego szlaku. Handlowa High Street przedarła się przez Kensington, lecz nie zabrała mu spokoju. Cichy Kensington wylotami wąziutkich Church Walk, Allen Street i zadrzewionej Melbury Road spogląda w twarz zgiełkliwej nowoczesności. Kontrast ciszy i zgiełku zwielokrotnia się w wieczór, mimo iż ruch słabnie na High Street.Melbury Road czy Campden Hill Road patrzą wtedy cyklopimi oczyma groźnej czarnej ciszy.

Ilekroć zdarza mi się jechać ulicą High Street z Earls Court Road na górnym pokładzie autobusu, tylekroć zbieg High Street i Church Street wydaje mi się gardzielą, która łyka wydzielane jej przez policjanta kęsy z tasiemca samochodów. Na Hyde Park Corner czy na Trafalgar Square obserwujemy ruch toczący się w jednym kierunku po obwodzie koła. Samochody jakby po myśli zasad fizyki o wypadkowej działania siły odśrodkowej i dośrodkowej zataczają coraz to większe koła, aż wreszcie odrywają się i nikną w ulicach, rozchodzących się promienisto. Na High Street jest inaczej.

High Street żyje w dzień powszedni. Stacją kolejki i autobusy co rano wyrzucają tutaj mrowie ludzkie, by wieczorem zabierać je i oddawać odległym zakątkom Londynu. High Street pustoszeje na noc i na weekend. Na week-end wyludniają się nawet pub'y i snack bar'y. Shop girl przestje być wtedy mechanizmem, zapytującym: Can I help you Madam, Sir, please?, odzyskuje własną osobowość, powierza się prostemu, ludzkiemu szczęściu narzeczeństwa, rodzinego ciepła czy przyjacielskich uczuć. Week-end to nie próba zapełnienia wolnego czasu, ale to zadośćuczynienie potrzebie integracji indywidualnej psychiki; — to zabieg terapiczny w stosunku do mieszkańców miasta.

Z mym obrazem ulicy High Street zrósł się portier przed domem handlowym Barkera. Jak inni portierzy tak i ten przy orderach. Pod tym względem inwalidom i weteranom angielskim jedynie portierzy dotrzymują towarzystwa. Lubię go. Jest zadowolny z życia. Ze znajomością rzeczy, z sumiennością obowiązku z przyjemnością amatora zarabia na chleb powszedni, z uśmiechem pomagając paniom wsiadać i wysiadać z taksówek. Ze swoimi wąsami stanowiłby doskonały typ huzara w albumie historii wojska królewskiego, nadawałby się znakomicie na reklamową etykietkę dobrej silnej wódki, przede wszystkim whisky.

Kensington ma swój uśmiech. Z wyjątkiem kasjerów na stacji kolejki podziemnej odznaczają się nim wszyscy. Nie tylko shop girls, bo to należy do ich obowiązków. Ma go ulica. Mają go panie Kensingtonu. A te są inne niż gdziekolwiek indziej w Londynie. Wiele z nich jakby zeszło z obrazów wiktoriańskich i późniejszych malarzy, jak W. Powell, W. Mulready, T. Gainsborough, J. Reynolds czy J.S. Sargent. Są wysokie i tak wiele wśród nich blondynek (cóż z tego, że tak często sztucznych blondynek!). A jeśli już nie są blondynkami, to wcześniej siwieją. Skala tonacji włosów blond i siwych — przebogata. Jedne — to takie, które



Kościół St. Marys Abbot przy Church Street

Włosi określają biondo cenere, innych, z subtelnym jedwabistym połyskiem nie mogę inaczej określić, jak przez porównanie z bryłą jedwabistego gnejsu, inne wreszcie lśnią odblaskiem srebra. Niektórym i to nie wystarczyło. Sztuka dodała im odcienia lilac. Prawu siwienia wymykają się zazwyczaj tylko złociste kędziory, które działają na nasz zmysł dotyku jak ciężkie ciepłe ziarna złota.

Piękność kensingtonianek nie jest pięknością sex appeal'u, bo pozostaje i wtedy, kiedy sex appeal wygasa. Tajemnica jego leży w duszy, a ujawnia się w uśmiechu. Kensingtoński uśmiech — to dorobek pokoleń. Dzieci już w wózkach dziecięcych uczą się go od uśmiechających się doń matek.

Jest wyjątkowo słoneczne popołudnie. O takim stopniu piękna mówi się na Kensingtonie nie „nice" czy „lovely", nawet nie „marvelous" ale „gorgeous" lub „divine". Słońce jak ciężki ognisty walec toczy się po niebie. Strumienie promieni zlewa na obozowisko dziecięcych wózków wokół the Round Pond, obrazawia twarze i wyzłaca dziecięce kędziorki-podnosi jasność czerwieni i bieli kensingtońskich kamienic, w sklepach na Church Street odbija się o kształtne ramiona lalek z saskiej porcelany, których bronił Chesterton, załamuje się tysiącem refleksów w różnokolorowych kształtach, wysrebrza włosy kensingtonianek, dodaje piękna ich uśmiechom...

Jan Wepsięć

---

wręcz jakby figurowała tam była Polska na wszelkich kartach jego dzieła.

Balzak, ów dziewiętnastowieczny Szekspir, już się bez elementu polskiego nie obył.

Jest to dowód naszej organicznej obecności w Europie poprzedzającej Wiosnę Ludów.

Władysław Folkierski

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

TAKA SOBIE REFLEKSJA

Bardzo piękne lato, wyjątkowe lato na tej wyspie. Pogoda, którą przed kilku laty nazywano w Europie „Hitlerwetter". Kogo nie stać na wyjazd jeśli nie do Italii w okolice Keghorn (jak pisze „Dziennik Polski" wychodzący w Londra) to bodaj na zwykłe holideje, ten aby ratować się przed sufokacją musi frekwentować pływające poole (nie mieszać z futbolowymi) Tak robię ja (So do I).

Jest więc gorąco i leniwie. Nie czuje się nawet twardości nagrzanych płyt kamiennych pod plecami i patrzy się w niebo, gdzie niewidoczny samolot znaczy białą drogę wpoprzek nieskazitelnego błękitu. Szum głosów ludzkich i plusk wody zlewa się w jedną całość jak uspakajający ryk wodospadu. Naprzeciwko, wysoko, z wieży skoków odrywają się dwie postacie i spływają ruchem szybowców a może raczej bomb latających, w których zgasł motor. Potem na najwyższy pomost wychodzi jakiś chłopak, coś do kogoś woła, podnosi prawą rękę i w tej pozycji leci na dół spadając wyprężony na nogi.

Ten widok nagle otwiera we mnie wspomnienie dokładne i wyraźne jak film. Taka sama pogoda, taki sam basen, takie same uczucie miłego rozleniwienia, nawet samolot na niebie. I taki sam chłopak na takiej samej wieży. Stał na najwyższej platformie a z dołu młodymi głosami domagano się: „Jurek, Jurek, pokaż Hitlera!" Zgodził się. Wzniósł sztywno prawicę do góry z dłonią lekko wzniesioną, przybrał pozycję wyprężoną i ruszył naprzód najklasyczniejszym „Parademarschem" z oczami wlepionemi nieruchomo przed siebie. W miarę jak zbliżał się do fatalnej krawędzi, radosne podniecenie tłumu nagusów rosło. Bez drgnięcia jednego muskułu w twarzy, z uroczystą i głupią miną ów Jurek wyrzucił nogę w próżnię i z podniesionym ramieniem runął w dół. Tak, to było dokładnie dziesięć lat temu na basenie Legii w Warszawie.

Wydawała się wtedy wojna czymś nierzeczywistym. Była prawie pewna ale niewyobrażalna. Szum wesołych głosów i plusk wody zlewał się w słońcu jakby uspakajający ryk wodospadu, a nienawistny Hitler był tylko jeszcze jednym źródłem chwilowej radości. Wtedy właśnie przyszła mi do głowy myśl: „Kto z obecnych tutaj ludzi będzie żył za rok?" Myśl była makabryczna i w tamtych okolicznościach prawie niesamowita. Myśl, że ci ludzie poginą, że basen będzie zniszczony, że jakiś świat zawali się bezpowrotnie.

Hitler istotnie postąpił dość dokładnie tak, jak pokazywał to utalentowany skoczek na pływalni Legii. Ale ilu ze śmiejących się widzów zginęło w bitwach, w więzieniach, kacetach i łagrach, zmarłych z ran, zagłodzonych, rozstrzelanych, powieszonych, zarażonych, utopionych, rozerwanych?

W ciągu następnych dziesięciu lat kąpałem się w różnych basenach, morzach, rzekach i jeziorach, ale nigdy już na Legii.

Był nawet taki okres, że podobnie jak w 1939 wojna wydawała się nierealna, tak w pięć lat później wydawało się, że nie może się ona skończyć w ogóle. Było znowu piękne lato 1944. Słońce, woda i gwar pozwalały zdrzemnąć się myślom, co było dużym wypoczynkiem, bo myśli wtedy nie były rzeźwiące. Koło mnie nad

Dokończenie na str. 7ej

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

DONIOSŁA KSIĄŻKA POLITYCZNA

P.t. „Pax Britannica" ukazała się książka znakomitego publicysty brytyjskigeo, F.A. Voigta, b. redaktora miesięcznika „The Nineteenth Century and After". (Constable and Co, cena 25 s.) We wstępnej notatce autor stwierdza, że książka napisana była w latach 1944-1947, choć później poczynił w niej jeszcze pewne zmiany i uzupełnienia.

Zdaniem Voigta nie może być trwałej równowagi europejskiej ani bezpieczeństwa dla Wielkiej Brytanii bez niepodległości narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Stąd narodom tym Voigt poświęca szczególnie dużo miejsca w swych rozważaniach; rozdział o Polsce („The Polish Catastrophe") stanowi omal trzecią część całej książki, liczącej ponad 500 stron druku. Niewiele mniejsze rozdziały poświęcone zostały Jugosławii i Grecji. Politykę Teheranu i Jałty Voigt poddaje bardzo surowej krytyce z brytyjskiego punktu widzenia. „Kiedy Polska — pisze — w r. 1939 chwyciła za broń przeciw Niemcom, walczyła o Europę i bezpieczeństwo Imperium Brytyjskiego w niemniejszym stopniu niż o swą własną sprawę. Kiedy opierała się żądaniom i wymuszeniom Rosji przy pomocy jedynych broni, jakie miała do swej dyspozycji, t.j. swej narodowej jedności, swego honoru narodowego oraz (jakże krucha to broń!) zobowiązań i obietnic swych aliantów — walczyła także o Europę, o bezpieczeństwo Imperium Brytyjskiego... Gdy Polska straciła swą niepodległość, stracone zostało dużo więcej, jak to wykazują wyraźnie obecne wydarzenia i wykazywać będą jeszcze wyraźniej w przyszłości!

W konkluzji książki Voigt stwierdza m.i.:

„System Atlantycki nie będzie miał bezpieczeństwa, przeciwnie będzie miał wzrastający brak bezpieczeństwa, póki kraje Europy Środkowej i Wschodniej, z ich liczną i wysoce uzdolnioną ludnością chrześcijańską oraz z ich ogromnymi zasobami, będą przymusowo wtłaczane, tak jak to się teraz dzieje, w unię polityczną, gospodarczą i militarną z Rosją".

Z WYSTAW LONDYŃSKICH

Dnia 7 sierpnia zamkniętą została wystawa obrazów Pinakoteki monachijskiej w National Gallery, podobnie jak wystawa zbiorów wiedeńskich w Tate Gallery.

12 sierpnia rozpoczyna się doroczna wystawa letnia w Royal Institute Galleries (195, Piccadilly). Otwarta jest w dni powszednie od 10-5, w niedzielę od 2-5.

W Berkeley Galleries (20, Davies Street, W.1.) odbywa się wystawa dzieł sztuki Dalekiego Wschodu Otwarta jest normalnie od 10-5.30, w soboty od 10-1.

Warto też zwrócić uwagę na stałą wystawę zbiorów Narodowego Muzeum Morskiego (National Maritime Muzeum) w Grenwich. Otwarte jest ono codziennie od 10-6, w niedziele od 2.30-6.

RĘKOPISY SZEKSPIRA

Istnieje tylko sześć okazów ręcznego pisma Szekspira, o których wiadomo z pewnością, że są autentyczne; są to wszystko podpisy pod dokumentami prawnymi, dokonane pośpiesznie i niezbyt czytelnie. Nie zachowały się natomiast rękopisy jego sztuk scenicznych, wierszy, czy listów — ani też żadne bruliony czy zapiski, choć od czasu do czasu ktoś ogłasza jakieś „odkrycia" z tego zakresu. Do odkryć tych nie przywiązywano większej wagi. Dopiero w r. 1940 antykwariusz Alan Keen znalazł w starym wydaniu „Hall's Chronicles" ręczne dopiski, poczynione być może istotnie przez Szekspira w związku ze zbieraniem przez niego materiałów do dramatów historycznych. Keena uderzyło wielkie podobieństwo tych dopisków do zwrotów użytych w sztukach historycznych Szekspira.

Rzecz doczekała się obecnie szczegółowego opracowania w książce Moray McLarena „A Report upon the Apparent Discovery of Some Working Notes of William Shakespeare" (Redington, 10 s. 6 d.). Argumentacja autora nie bardzo jednak zdaje się przekonywać recenzentów.

SPRZEDAŻ DZIEŁ BLAKE'A

W hali licytacyjnej Christie's w Londynie odbyła się d. 23 lipca sprzedaż największego istniejącego zbioru dzieł malarskich Williama Blake'a, wielkiego poety i malarza angielskiego z przełomu XVIII i XIX stulecia. Zbiór ten był własnością zmarłego niedawno Grahama Robertsona, który gromadził go przez pół wieku. Sprzedaż zbioru przez licytację (łącznie z pewną ilością obrazów malarzy nowoczesnych) przyniosła łącznie 65.032 funty. Niezależnie od tego wykonawcy woli zmarłego ofiarowoli część zbioru publicznym muzeom i galeriom; w ten sposób o dzieła Blake'a wzbogaciła się Tate Gallery, British Museum, National Gallery of Scotland oraz galerie obrazów w Southampton i Brighton Wartość licytacyjna tej częsc. zbioru, ofiarowanej galeriom publicznym, szacowana jest na 42.000 funtów.

HISTORIA LITERATURY AMERYKAŃSKIEJ

Ukazała się w dwóch wielkich tomach, do których dochodzi bibliografia, „Literary History of the United States" (Macmillan, cena 5 funtów); dzieło redagowali: Robert E Spiller, Willand Thorp, Thomas H Johnson, Henry Seidel Canby. Jest to pierwszy tak obszerny obraz literatury Stanów Zjednoczonych od czasu pojawienia się „The Cambridge History of American Literature".

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

CZY CZERWONE ZWYCIĘSTWO W CHINACH ZAMIENIĆ FORMOZĘ NA KRAJ KATOLICKI

W miarę, jak wojska komunistyczne zalewają Chiny, niepodległość chińska buduje sobie ostatni szaniec oporu na wyspie Formozie, która była kilkadziesiąt lat pod panowaniem japońskim, ale obecnie powróciła pod władzę Chin. Nie jest prawdopodobne, by komuniści zajęli Formozę, bo nie mają marynarki wojennej, a marszałek Czang-Kai-Szek skupił na Formozie najwierniejsze wojska i najbogatsze zapasy.

Formoza była dotąd prawie całkiem pozbawiona rodzinnego, chińskiego chrześcijaństwa. Liczy ona 8 milionów mieszkańców, a więc tyle co Holandia lub Szwecja, ale miała dotąd tylko jednego księdza katolickiego, Chińczyka.

Obecnie jednak napływają masowo na Formozę prześladowani katolicy z Chin kontynentalnych. Osiadł na Formozie również i arcybiskup Nankinu, ksiądz Yu-Pin. Wytwarza się na Formozie tak duże skupienie katolickiej elity chińskiej, że nie pozostanie to z pewnością bez wpływu na oblicze wyspy. Chińscy katolicy z kontynentu z pewnością przeprowadzą ożywioną akcję misyjną wśród swych rodaków-wyspiarzy — i zdołają ich z pewnością szybciej nawrócic, niż 400 milionową masę chińską na kontynencie.

Chińczyków-katolików, wedle obliczeń z czerwca 1948 roku było 3.274.740, do czego trzeba doliczyć dalszych 194.712 katechumenów, przygotowujących się do chrztu. Istniały dotąd w Chinach 3 uniwersytety katolickie, 189 katolickich szkół średnich i 2.011 katolickich szkół ludowych. Młodzieży katolickiej w szkołach było w Chinach 319.444.

Chiński katolicyzm jest siłą znaczną, liczebnie podobną do Irlandii, a większą od Litwy, ale w masie chińskiego narodu jest kroplą w morzu. Arcybiskup Yu-Pin udzielił w tych dniach wywiadu, w którym stwierdza, że dążeniem Kościoła jest, by katolicy chińscy unikali męczeństwa, — bo katolicyzm chiński łatwo jest komunistom unicestwić przez zwyczajne wymordowanie katolików — ale raczej, by uciekali i skupiali się w miejscach, gdzie siły katolicyzmu chińskiego mogą być przechowane dla zadań przyszłości. Katolicy chińscy skupiają się na Formozie, na emigracji w Singapoore oraz w wolnych jeszcze i mających szanse obronienia się Chinach południowych wokół Kantonu. Część katolików pozostaje zresztą pod panowaniem komunistów — najmniej skompromitowani wobec komunistów biskupi, księża i misjonarze pozostają wraz z nimi lub są do nich dosyłani, główna jednak masa katolików świeckich i duchowieństwa z Chin komunistycznych odpływa.

Arcybiskup Yu-Pin przewiózł na Formozę jedną z dwuch chińskich radiostacji katolickich (druga wpadła w ręce komunistów), a do Singapoore wielką drukarnię, przeznaczoną dla prasy codziennej.

Jeśli kościół na Formozie się utrwali, to znaczyłoby to, że u wybrzeży komunistycznego, azjatyckiego kontynentu wyrasta, niby zapora, łańcuch wysp i archipelagów katolickich. Filipiny są krajem katolickim od wieków. Japonia silnie wpływem katolickim nasiąka. A teraz okazuje się nadto, że ośrodkiem życia katolickiego staje się też i bastion Chin narodowych, Formoza.

CZERWONY TRÓJKĄT ZAMIAST CZERWONEGO KRZYŻA.

W Genewie wyłoniła się kwestia, czym zastąpić znak czerwonego krzyża, jako symbol międzynarodowy. Znak ten przyjęty został na konferencji 26 państw w 1864 roku. Jednak kraje muzułmańskie używają oddawna znaku czerwonego półksiężyca.

Obecnie republika izraelska wprowadziła u siebie znak czerwonej gwiazdy Dawidowej.

Na konferencji, odbywającej się w Genewie celem zrewidowania postanowień Konwencji o opiece nad ofiarami wojny rozważany jest projekt skasowania czerwonego krzyża, jako symbolu międzynarodowego i zastąpienia go czerwonym trójkątem lub czerwonym sercem...

Oto Europa po 20 wiekach chrześcijaństwa!

BRAT CESARZA JAPOŃSKIEGO NA UROCZYSTOŚCI KATOLICKIEJ

Uroczystości katolickie w Japonii, związane z rocznicą św. Franciszka Ksawerego, zakończyły się — przy udziale 20.000 wiernych — na stadionie Meij w Tokio. Wziął w nich udział brat cesarza japońskiego, książę Takamatsu wraz małżonką oraz wielu dygnitarzy japońskich.

O kilka dni wcześniej książę Takamatsu wziął także udział w uroczystościach w Osaka w parku Nishinomiya. Po skończeniu mszy polowej wstąpił on na stopnie ołtarza i wygłosił przemówienie do zgromadzonych tłumów, w znacznej części pogańskich, w którym powiedział m.in.:

„Wiara, którą św. Franciszek Ksawery przywiózł do Japonii, nie umarła, lecz wciąż żyje. Będzie ona żyć zawsze. Przykład poświęcenia męczenników japońskich daje dzisiejszej generacji bezgraniczną nadzieję i zachętę. Powinniśmy zacząć nową epokę, przyłączając się do wielkiej nauki św. Franciszka Ksawerego".

Te wielkie i obiecujące słowa brata cesarskiego są bardzo znamienne.

CZY KLASZTORY WRÓCĄ DO SZWECJI?

Wniesiono do szwedzkiego parlamentu projekt ustawy, zezwalającej na zakładanie klasztorów katolickich w Szwecji i znoszącej rozmaite ograniczenia wolności Kościoła katolickiego w Szwecji.

Do roku 1860 przyjęcie przez Szweda wiary katolickiej karane było wygnaniem z kraju. Od roku 1873 osobom, które ukończyły 18 lat, wolno jest wiarę katolicką przyjmować. Ale propagandy katolickiej dotąd nie wolno jest w Szwecji uprawiać ,a Kościół katolicki skrępowany jest mnóstwem ograniczeń.

MAYNOTH ZDOBYWA £ 500 000

Seminarium duchowne w Maynooth pod Dublinem, które znalazło się w trudnościach finansowych i rozpisało składkę w społeczeństwach katolickich mowy angielskiej na obu półkulach, zgromadziło, zamiast spodziewanych 300.000 funtów, fundusz, sięgający około 500.000 funtów.

ZAKAZ ZBIÓRKI NA UNIWERSYTET LUBELSKI.

Władze komunistyczne w Polsce zakazały urządzenia zbiórki ulicznej na potrzeby Uniwersytetu Katolickiego w Lublinie.

W związku z tym, władze uniwersytetu wydały odezwę apelując do społeczeństwa o zapisywanie się do szeregów Towarzystwa Przyjaciół Kat. Uniw. Lub., którego liczba członków musi wzrosnąć z 12.000 na 100.000.

RÓŻANIEC W HYDE PARKU

Co niedzielę o godz. 3 po południu w Hyde Parku w Londynie odmawiany jest publicznie różaniec na intencję trwałego pokoju, nawrócenia Rosji, nawrócenia Anglii i na intencję chrześcijan, prześladowanych we Wschodniej Europie.

Rezultatem tego publicznego odmawiania różańca jest już szereg wypadków nawrócenia się niekatolików na katolicyzm i powrotu do praktyk religijnych przez katolików obojętnych.

Ostatnio — za zezwoleniem biskupa — zaczęto w podobny sposób odmawiać publicznie różaniec w miejscowości Levtonstone w Essex.

NOTATNIK

ZBIEŻNOŚĆ ZAMYSŁÓW

Jeden z korespondentów prasy zagranicznej w Pradze udowodnił niedawno że zamiarem Stalina jest nie zamknięcie kościołów i zakaz kultu katolickiego ale oderwanie Kościołów od Rzymu i podporządkowanie ich w obecnym etapie rozwojowym ludzkości metropolii moskiewskiej. To samo z resztą stwierdzaliśmy w Życiu (nr 31/110) w art. „Kościół Katolicki przeciw marksizmowi".

Obecnie „Der Monat" we Frankfurcie ogłasza pamiętniki Rosenberga, spisane przed śmiercią z ręki amerykańskiego kata. W pamiątnikach tych Rosenberg zeznaje, że mieli z Hitlerem plan oderwania Kościoła niemieckiego po wojnie od Rzymu i ustanowienia „niemieckiego papieża". Opierający się takiemu „papieżowi" księża byliby „skróceni o głowę". Hitler godził się z myślą ustanowienia kościołów narodowych także w innych krajach europejskich a każdy miał mieć swego „papieża". Im więcej papieży, tym lepiej" powiedzieć on miał do Rosenberga w listopadzie 1940 roku.

W zakresie walki z Kościołem niewiele, w gruncie rzeczy, wymyślono nowego od czasów starożytnych. Wszyscy wrogowie za najważniejsze uważają bić przede wszystkim w uniwersalizm katolicki uosobiony w instytucji jednego Namiestnika Chrystusowego. Doceniają oni znaczenie tego urzędu bardziej niż wielu katolików, zwłaszcza — polskich katolików.

[illegible] ATOMOWEGO

Zabawna rzecz wyszła z bombą atomową. Amerykanie ciągle obliczali, czy i kiedy Sowiety zaczną produkować bomby atomowe i tylko w tym widzieli zagrożenie dla swego monopolu. Tymczasem okazało się, że Anglicy zaszli daleko w produkcji atomowej i w ciągu roku mogą przystąpić do fabrykacji regularnej. Również badania francuskie, pod przewodnictwem, niestety, zięcia Curie-Skłodowskiej komunisty Jolliota, są bardzo posunięte Wśród Amerykanów wyniknął spór, czy podzielić się z Anglikami i Kanadyjczykami całością tajemnic produkcyjnych, czy nie. Spór ten wikła się ze sporem o pomoc gospodarczo-finansową dla Brytanii.

Niezależnie od tego węższego zagadnienia — stosunków angielsko-amerykańskich, które jest sporem w rodzinie, powstaje szersze zagadnienie, że tajemnica bomby atomowej już wogóle nie jest tajemnicą, a chodzi tylko o to, jakie kraje są w jakim stopniu zdolne do jej masowego wyrobu.

KRYZYS W JAPONII

Bardzo poważny kryzys gospodarczy rozwinął się w okupowanej przez Amerykan Japonii. Nagromadziły się góry surowca i fabrykatów, których nie ma gdzie sprzedać. Japończycy winią biurokrację rządową, to znaczy w rzeczywistości winią złą politykę „cesarza" Mac Artura. Wydaje się jednak, że wina Amerykanów jest tu tylko dodatkowa.

Położenie geograficzno-gospodarcze Japonii przypomina położenie Anglii: wyspy u brzegów wielkiego kontynentu, przeludnionej, o bardzo rozwiniętym przemyśle, niezdolnej do wykarmienia swej ludności produktami żywnościowymi kraju. Japonia, aby żyć, musi gdzieś zbywać wytwory swego przemysłu. Nie w Ameryce przecież tylko albo w Chinach albo w Azji południowo-wschodniej. Z powodów politycznych, których tu nie potrzeba przypominać, jest to obecnie niemożliwe.

Biały Szogun MacArtur nic tu pomóc nie może, dopóki świat jest pęknięty na dwie połowy i pęknięcie to przechodzi poprzez Morze Japońskie. Narazie proponuje on Japończykom „kontrolę urodzeń. Propaganda komunistyczna w Japonii zaczyna trafiać po raz pierwszy na podatniejszy grunt.

WZGLĘDNOŚĆ BEZPIECZEŃSTWA

„The Chatanooga Times" przynosi karykaturę obrazującą położenie Ameryki. Z lewej strony przedstawiającej „wczoraj" Wuj Sam patrzy z uśmiechem na dym i płomienie z drugiej strony Atlantyku i mówi „Wiem, że jestem bezpieczny". Z prawej strony przedstawiającej „dziś" Wuj Sam trzyma w ręku Pakt Atlantycki i patrząc z najwyższym przerażeniem na dym i płomień z drugiej strony Atlantyku powiada „Mam **nadzieję**, że jestem bezpieczny".

W PÓŁ WIEKU PO FASZODZIE

W Paryżu odsłonięto pomnik gen. Marchand. Na uroczystości odsłonięcia obecny był ambasador angielski. To dowodzi jak daleko odbiegliśmy od epoki tak zupełnie innej a przecież oddalonej zaledwie o pół wieku. Były to czasy ekspansji kolonialnej, czasy kiedy jeszcze duże połacie Afryki oznaczane była na mapach białymi plamami, kiedy Anglia, Francja i Niemcy sięgały po dziewicze puszcze, zamieszkałe przez „dzikich murzynów". Dziś w wielu z tych okolic wydobywa się miedź, złoto i uran a o duszę czarnych walczą ze sobą agitatorzy komunistyczni, czarni księża i pastorzy i znani agenci amerykańskich firm i wywiadów.

Marchand, wówczas kapitan Marchand, na rozkaz rządu francuskiego, podjął wojskową wyprawę z Sudanu francuskiego w poprzek Czarnego Lądu, by dotrzeć poprzez Oazy do Nilu i dalej do francuskiego Dżibuti na wybrzeżach Oceanu Indyjskiego. Francja chciała przeciąć w ten sposób Afrykę napoprzek, pokrzyżować angielską drogę od Egiptu do Kapsztadu i stworzyć imperium kolonialne z własną drogą do Indochin. Marchand pozostający przez dwa lata bez kontaktu ze swoim rządem, nie było radia ani trakcji samochodowej, dotarł do Faszody nad Nilem i tu spotkał się z Anglikami. Wybuchł zatarg, który o mało nie doprowadził do wojny angielsko-francuskiej. Ostatecznie Anglia postawiła na swoim. Marchand zawrócił z nad Nilu.

Dziś żyjem yw okresie likwidacji imperiów kolonialnych zarówno angielskiego jak francuskiego i ze wszystkich rzeczy możliwych najmniej prawdopodobny jest konflikt francusko-angielski. Dlatego ambasador Jego Brytyjskiej Mości bez wahania poszedł na odsłonięcie pomnika gen. Marchand.

Z ŻYCIA KULTURALNEGO EMIGRACJI

WYSTAWA „GRUPY 49"

Odbyta niedawno w salach klubu towarzyskiego Polskiej YMCA wystawa rysunków młodych malarzy, zrzeszonych pod nazwą „Grupa 49", była bardzo udanym pokazem, świadczącym, że artyści — byli żołnierze Polskiego 2 Korpusu — nie marnowali czasu od chwili ustania działań wojennych. Twórcami rysunków, które na wystawie pokazano, byli absolwenci Polskiego Studium Akademickiego Malarstwa i Grafiki Użytkowej, zorganizowanego pod opieką Zrzeszenia Profesorów i Docentów Polskich Szkół Akademickich w W. Brytanii. Studium powstało w Rzymie w roku 1945 a po przyjeździe 2 Korpusu do Anglii znalazło pomieszczenie w Kingwood Common Camp koło Reading, gdzie w roku ubiegłym uroczyste wręczenie 19 dyplomów zamknęło działalność tej twórczej placówki. Wykładowcami byli Prof. Marian Bohusz-Szyszko i Prof. Wojciech Jastrzębowski.

Wśród ogółu prac wystawionych ostatnio przeważały kompozycje o charakterze przedstawieniowym ze zdecydowanym jednak dążeniem do deformacji, idącej czasem w kierunku groteski, czasem jakby nawrotu do spontanicznej twórczości ludowej, czasem znów zmierzającej do silniejszego wywołania tą drogą takiego czy innego nastroju. Taką właśnie nastrojową pracą była oryginalna „Ćma" Zbigniewa Adamowicza, który wystawił pozatym „Wnętrze" i „Łuk triumfalny". Odznaczający się świetną techniką Tadeusz Beutlich pokazał szereg grotesek wykonanych przeważnie cienką kreską, przypominających nieraz prace Picassa. Tegoż artysty „Głowa" to znów naśladowanie Rouault'a. Niewątpliwie Beutlich celowo odtwarza styl wymienionych mistrzów, chcąc może w ten sposób zademonstrować swoje bardzo duże możliwości. Gdy spogląda się na rysunki Andrzeja Bobrowskiego, trudno wprost uwierzyć, że jest on również rzeźbiarzem, tak dalece czysto m a l a r s k ą jest jego wizja „Zwycięstwa" względnie „Wyścigów". Niezwykle różnolity w poszukiwaniu frazy jest Ryszard Demel, autor „Lalek" i „Widoku Cambridge". Próbę syntetycznej jakby przedstawieniowości daje Antoni Dobrowolski w swoim „Laboratorium", gdzie zarysy próbówek i innych przyborów laboratoryjnych oraz zwykłe kolumny cyfr zostały bardzo udatnie wykorzystane jako element konstrukcyjny linearno-rysunkowej kompozycji. Tenże autor wystawił „Portret", „Raka" i „Koguta", Janusz Eichler, subtelny rysownik, w dwóch swoich kompozycjach, „Bolero" i „Izabella", wykazuje głębokie poczucie równowagi plastycznej.

Tadeusz Muszyński był na wystawie jedynym przedstawicielem czystego abstrakcjonizmu. Prace jego należały niewątpliwie do najciekawszych eksponatów. Gra głębokiej czerni i bieli, przeciwstawionych sobie i przenikających się wzajemnie w różnorodnych stopniowaniach i układach — oto treść czterech kompozycji Muszyńskiego, który pozatym wystawił również dwie rzeczy o charakterze przedstawieniowym: „Oaza" i „Powitanie". Kazimierz Dźwig zabłysnął satyrą, przechodzącą częściowo w groteskę, w kompozycji „Mobilizacja". Trzy rysunki Leona Piesowockiego, nastrojowe „Manekiny", „Wnętrze galerii" i „Kościół Metodystów" były świadectwem dojrzałego talentu, poszukującego skutecznie własnego wyrazu. Aleksander Werner wystawił szereg bardzo oryginalnych linorytów o stylu wywołującym czasem reminiscencje sztuki ludowej („Ofiara Abrahama", „Porwanie Sabinki"). Wśród prac uczniów zwracały uwagę cztery kompozycje mistrza — prof. Bohusza-Szyszki — który wystąpił jako gość Grupy, wystawiając świetne „Ukrzyżowanie", „Martwą naturę", „Portret Pani M." i „Głowę".

Nie było na wystawie ani jednej pracy, której możnaby było postawić jakiekolwiek zarzuty ze stanowiska m a l a r s k i e g o. Prof. Bohusz-Szyszko, który z takim zamiłowaniem oddawał się pracy wychowawczej, może być w pełni zadowolony ze swoich uczniów.

F. STRZAŁKO

TAKA SOBIE REFLEKSJA

Dokończenie ze str. 5-ej

angielskim stawem usiadło dwóch bardzo chudych i jakby fizycznie niedorozwiniętych ludzi, zupełnie nie opalonych. Siedzieli z nastroszonymi minami i nie mówili słowa. Spotkałem ich wracając z kąpieli. Chuderlawi młodzieńcy ubrani byli w długie buty, granatowe spodnie z czerwonym lampasem, rubaszki z poszerzającymi ramiona pagonami i okrągłe czapki. Złote pagony widziałem wtedy po raz pierwszy.

Potem wojna się skończyła a pokój nie zaczął. Z dziesięciolecia, jakie dzieli nas od pięknego lata kiedy Jurek pokazywał Hitlera, w każdym .. nas pozostały poza drobnymi maniami w rodzaju np. zasuwania firanek zanim się zapaliło światło, lub wrażliwością na takie czy inne fale dźwiękowe lub takie czy inne zapachy, pewne głębsze doświadczenia. Leżąc w słońcu nad wodą w upalny dzień wśród wesołego gwaru nie mamy już tego uczucia bezwzględnego bezpieczeństwa, jakie mieliśmy kiedyś. Nurkujący z wysoka człowiek nie wydaje się już jaskółką, tylko bombą. Ale to jest głębiej, na powierzchni jest tak samo sennie i spokojnie. Mały chłopczyk, który nie pamięta nawet roku 1945 uczy się pływać, dziewczyna w zielonym kostiumie, która nie bardzo przypomina sobie rok 1939, skacze z trampoliny. Na niebie samolot znaczy biały ślad swej drogi. Za kwadrans nie będzie tego śladu.

Kiedy zamknąć oczy, człowiek przestaje być prawie człowiekiem, staje się tylko ciałem, które czuje, że żyje i że tak być powinno.

Obchodzimy dziesięciolecie utraty beztroski.

Wojciech Wasiutyński

WYKŁADY PROF. KOMARNICKIEGO W AKADEMII PRAWA MIĘDZYNARODOWEGO W HADZE

W przepełnionej sali Akademii Prawa Międzynarodowego w Hadze, której słuchaczami byli w tym roku przedstawiciele około 40-stu narodowości odbyły się statnio wykłady znakomitego reprezentanta nauki polskiej prof. dr Wacława Komarnickiego, byłego dziekana wydziału prawa uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, byłego ministra sprawiedliwości w Rządzie R. P. w Londynie — na temat definicji agresora w nowoczesnym prawie międzynarodowym.

W wykładach przedstawił prof. Komarnicki rozwój pojęcia napastnika i agresji od końca 19-go wieku do chwili obecnej. Zwrócił on szczególną uwagę na blisko dwudziestoletnie usiłowania Ligi Narodów nad określeniem pojęcia agresora w prawie międzynarodowym, których wyrazem były między innymi: Pakt Ligi Narodów, Protokół Genewski, Pakt Reński (Locarno), Pakt Paryski Brand-Kellog) i Konwencja Londyńska z 1933 r.

Zwrócił on też uwagę na fakt, że Rosja Sowiecka przez ówczesnego komisarza spraw zagranicznych Litwinowa bardzo dokładnie definiowała pojęcia agresora na Konferencji w Londynie w 1933 r. Nie powstrzymało to wcale Rosji Sowieckiej od dokonania agresji na Polskę w 1939 r. i pogwałcenia polsko-sowieckiego paktu o nieagresji. Nie zawahała się Rosja pogwałcić równie cynicznie wszystkich innych paktów o nieagresji zawartych z jej sąsiadami na zachodzie Europy a dziś w skórze baranka pokoju patronuje wszystkim kongresom pacyfistycznym.

W ostatnich swych wykładach przedstawił prof. Komarnicki rozwój pojęcia agresji w ramach Karty Organizacji Narodów Zjednoczonych i w umowach regionalnych jak Pakt Północno Atlantycki oraz w prawie międzynarodowym amerykańskim jak Akt w Chapultec, traktat w Rio de Janeiro (1947) i IX Konferencja Państw Amerykańskich.

W konkluzji uwydatnił uczony polski współczesną ewolucję prawa międzynarodowego zmierzającego do stworzenia władzy międzynarodowej, która by zapewniała powszechne bezpieczeństwo i pokój, oparte o prymat prawa międzynarodowego nad prawem wewnętrznym państw.

Można tu dodać, że system bezpieczeństwa, oparty o Organizację Narodów Zjednoczonych załamał się w ostatnich czasach i to dzięki Rosji Sowieckiej, która nadużywając prawa veta w Radzie Bezpieczeństwa uniemożliwiła zrealizowanie ideałów Karty Narodów Zjednoczonych. Dlatego to jesteśmy świadkami tworzenia się związków regionalnych dla obrony przeciw agresji jak alians pięciu mocarstw zachodnioeuropejskich, oparty o Pakt Północno Atlantycki.

Wykłady prof. Komarnickiego cieszyły się ogromnym powodzeniem. Przez usta jego zabrzmiał raz jeszcze na forum międzynarodowym głos Polski, potępiający agresję. Wykłady te zostaną ogłoszone drukiem (po francusku) przez Akademi Prawa Międzynarodowego w Hadze.

Obserwator

KU CZCI JÓZEFA CONRADA KORZENIOWSKIEGO

W związku z dwudziestą piątą rocznicą zgonu Józefa Konrada Korzeniowskiego odprawiona została w niedzielę, dn. 31 lipca — staraniem polskiego Klubu Miłośników Conrada — Msza św. za spokój jego duszy w Brompton Oratory w Londynie.

W dzień rocznicy, 3 sierpnia, delegacja Klubu z prezesem dr. W. Tarnawskim na czele udała się do Canterbury. W kościele św. Tomasza mszę św. na intencję Zmarłego odprawił ks. Laubenque, proboszcz parafii kotolickiej w Canterbury. Delegacja udała się potem na cmentarz miejski (City Cemetery), gdzie pochowany jest Józef Conrad Korzeniowski, i złożyła na jego grobie kwiaty białe, i czerwone, przepasane wstęgą o barwach narodowych polskich.

Członkowie delegacji podejmowani byli następnie niezwykle gościnnie przez syna wielkiego pisarza, p. Johna Conrada i jego żonę. Po wspólnym spożyciu śniadania pp. Conradowie i członkowie delegacji udali się najpierw do wsi Bishopsbourne, gdzie Józef Conrad spędził ostatnie lata swego życia, a potem do położonego niedaleko stamtąd domu p. Johna Conrada i jego rodziny. Na frontowej ścianie tego domu, zbudowanego na krótko przed wybuchem drugiej wojny światowej, widnieje orzeł polski na czerwonym tle. Dom pełen jest pamiątek po wielkim pisarzu, członkach jego rodziny i znajomych.

P. John Conrad jest jednym ze znanych i poważanych architektów w Canterbury i okolicy.

W związku z rocznicą staraniem Klubu Miłośników Conrada ukazał się w całej niemal polskiej prasie emigracyjnej szereg artykułów, poświęconych życiu i twórczości znakomitego pisarza. (b.)

STARE KLISZE — NOWE CZASY

CZYTALIŚMY w „Times'ie", że Stalin niedawno przyjął w obecności Wyszyńskiego ambasadora brytyjskiego Sir Davida Kelly. Przy tej sposobności nie można było, jak zaznacza „Times", przeprowadzić rozmów o charakterze zasadniczym, toteż audiencja ze strony brytyjskiego ambasadora ograniczyła się z konieczności do „ogólnikowego zadokumentowania pragnienia ze strony W. Brytanii utrzymywania przyjaznych stosunków ze Związkiem Sowieckim na gruncie poszanowania przez obie strony wzajemnych, życiowych interesów". Wiemy, że życiowy interes Rosji Sowieckiej polega na panowaniu nad połową Europy. Co o skutkach takiego panowania myślą niektórzy rodacy brytyjskiego ambasadora, a zapewne wkrótce już i on sam, widzimy z dwóch dość jaskrawych wypowiedzi, które się w ostatnich czasach w prasie brytyjskiej ukazały.

W Izbie Gmin poseł konserwatywny brygadier Head zauważył, że jeśli by w wyniku wojny Europa Zachodnia została zajęta przez armię sowiecką, to nawet „gdyby udało się nam ją odwojować, znaleźlibyśmy jedynie kraj, w którym elita w najszerszym tego słowa znaczeniu byłaby wywieziona i wyniszczona. Z takiego upadku zachodnia Europa nigdy by się już podnieść nie mogła".

Jak widać te perspektywy przeszkadzają solennemu zapewnieniu Rosji, że może ona z elitą środkowej i wschodniej Europy robić, co się jej żywnie podoba. Czyżby nie wiedziano na Zachodzie, co się tam dzieje? Okazuje się, że w Amsterdamie na Międzynarodowym Kongresie zwołanym dla zaprotestowania przeciw prześladowaniom religii miał przemawiać p. Chuter Ede, brytyjski minister spraw wewnętrznych. Ponieważ wskutek londyńskiego strajku minister nie mógł W. Brytanii opuścić, odczytano jego przemówienie. Mówiąc o stosunkach w państwach, które są satelitami Rosji, p. Ede powiedział: „Mrok nowego średniowiecza spada na umysły zamieszkałych tam ludów". Zwrot ten świadczy wprawdzie nie bardzo górnie o historycznej wiedzy p. Chuter Ede, ale sens jego miał być taki, że idą czasy niewoli i ciemności!

Tak się mówi w Amsterdamie, a w Moskwie zapewnią się o pełnym poszanowaniu dla panowania ciemności. Czy takie rozumowanie nie prowadzi wcześniej czy później do „ponurego wieku" dla całej Europy.

*

BRONIĄC swej polityki w stosunku do Niemiec p. Bevin w Izbie Gmin próbował doszukiwać się źródeł obecnych trudności, w tym, że Niemcom narzucono „bezwarunkową kapitulację". Ponieważ mamy dowody, do czego doprowadziło „warunkowe poddanie się" w 1918 r., lepiej chyba gdzieindziej doszukiwać się powodów niebezpieczeństw, związanych z wyraźnym wzrostem niemieckiego nacjonalizmu. Politycy angielscy zarówno ze strony konserwatystów jak i labourzystów, nie rozumieją istoty zagadnienia niemieckiego, które wynika z cech charakteru, geograficznej pozycji, cyfry ludności i przemysłowego potencjału. Niemcom imponuje jedynie siła, której wyczyn utrzymywania mostu powietrznego nad Berlinem był ze strony Zachodu dowodem. Nie dadzą się zjednać odkładaniem rozbiórki skazanych na zagładę fabryk ani łagodnym wyrokiem w procesie niemieckiego generała. Polityki z łezką w oku nie prowadzili nigdy. Objawy sentymentalizmu pp. Lloyd George'a, Chamberlain'a, Bevina czy Churchilla poczytywali i poczytywać będą jako słabość, którą należy wyzyskać. Wypróbowali z powodzeniem narzędzie politycznego szantażu w stosunku do Zachodu, jakie tkwi w groźbie porozumienia niemiecko-rosyjskiego. Tego środka nie mają potrzeby się wyrzekać.

Z ducha Rapallo wyrósł pakt Ribbentrop-Mołotow, a strach przed widmem ponownego aliansu zrodził Teheran i Jałtę. P. Churchill dał już dowody, że się tych duchów boi, i nic nie ilustruje lepiej, że się niczego pod tym względem nie nauczył jak słowa wypowiedziane 21-go lipca w Izbie Gmin: „Jestem pewien, że amunicje wytwarzane w fabrykach niemieckich, dotąd nie rozebranych nie potrafią sprawie pokoju czy przyszłemu zwycięstwu sprzymierzonych w razie agresji wyrządzić połowy zła, jakie pociąga za sobą zawód i zniechęcenie nieproporcjonalnie wielkie, które są widoczne u Niemców ciążących ku Zachodowi".

Przemawiając tymi słowy p. Churchill dał wyraz temu, co myśli znaczna większość narodu angielskiego, ale co prowadzi na manowce gorzkich zawodów.

*

CHURCHILL powiedział 21 lipca w parlamencie angielskim, że żądanie „bezwarunkowej kapitulacji" było ogłoszone przez Prezydenta Roosvelta bez jego wiedzy i że racja stanu brytyjska wymagała, by wobec aliansu i w obliczu wypadków z oświadczeniem Roosevelta się pogodzić. „Poparłem to oświadczenie, powiada Churchill, choć nie podzielałem słuszności myśli w niej zawartej". Czy tak było rzeczywiście?

„Observer" ogłasza list do redakcji, który raczej wskazuje, iż tak być nie mogło. Autor przypomina, że 11 lutego 1943 r. natychmiast po konferencji w Casablanca Churchill w Izbie Gmin powiedział: „Tylko po spokojnie dokładnej i dojrzałej ocenie faktów... Prezydent przy moim udziale jako przedstawiciela brytyjskiego gabinetu wojennego zdecydował, iż w wyniku konferencji w Casablance powinien być postawiony wszelkim naszym przeciwnikom warunek bezwarunkowej kapitulacji.

W papierach Harry Hopkinsa ogłoszonych przez R. Scherwooda, znajdujemy (str. 693) zwrot dotyczący tej sprawy. Scherwood twierdzi, że oświadczenie prezydenta poprzedzone było „bardzo ostrożnymi rozważaniami". Elliot Roosevelt, którego pamiętniki poświęcone podróży z Ojcem są nacechowane wyraźną niechęcią do Churchilla, opowiedział ze swej strony, że na śniadaniu w Casablanca w jego i Hopkinsa obecności padło pierwszy raz znamienne hasło „bezwarunkowej kapitulacji": Churchill — pisze Elliot Roosevelt, żuł wolno, pomyślał, namarszczył się, wreszcie śmiejąc się wykrzyknął — „doskonale, widzę już jak Goebbels piszczeć będzie"! Elliot na tym nie poprzestaje i twierdzi, iż przed rozejściem się tego wieczora Churchill wzniósł jeszcze kieliszek, i powiedział: a więc „bezwarunkowa kapitulacja"!

Czy tak było, czy nie było, nie to jest ważne, bo wszystko przyćmiła kapitulacja mocarstw Zachodnich przed wolą Stalina.

WSZYSTKICH, KTÓRYM LEŻY NA SERCU...

Wszystkich, którym leży na sercu rozwój i rozrost prasy katolickiej, prosimy o zwrócenie uwagi na fakt, że wydaliśmy barwną i trwałą wywieszkę, która wzywa do czytania i popierania prasy katolickiej a zwłaszcza naszych tygodników ŻYCIA i GAZETY NIEDZIELNEJ. Nadaje się ona szczególnie do umieszczenia we wszystkich miejscach sprzedaży naszych pism, jak księgarnie, kioski, stoliki lub wózki kolportażowe i dlatego rozpoczęliśmy jej wysyłanie do wszystkich kolporterów naszych tygodników.

Wywieszka ta powinna się też znaleźć na tablicach ogłoszeń wszystkich organizacyj katolickich, jak Koła Akcji Katolickiej, Sodalicje Mariańskie, Komitety Kościelne itd.. w przedsionkach domów katolickich i wogóle domów polskich, w hostelach, gdzie są Polacy, w biurach polskich instytucyj, w poczekalniach lekarzy i adwokatów polskich, w polskich przedsiębiorstwach i sklepach, słowem wszędzie, gdzie bywają lub się gromadzą polscy katolicy. Będzie to pięknym zadaniem przodowników Akcji Katolickiej, by w granicach ich zasięgu wszędzie były wywieszki wzywające do popierania naszej katolickiej prasy.

Wywieszkę bezpłatnie wysyłamy na żądanie i prosimy tylko o podanie ilości egzemplarzy oraz o wymienienie miejsc, w których ma być umieszczona. Ze względu na znaczny koszt wywieszki prosimy o zamawianie tylko takiej ilości egzemplarzy, która będzie naprawdę celowo wykorzystana.

OŚRODEK WYDAWNICZY I KOLPORTAŻOWY „V E R I T A S"
12, Praed Mews, London, W. 2.

ANDRZEJ WOLSKI

Korespondencja własna ŻYCIA

PIERWSZE WIDOKI KANADY

DOCHODZI mnie tu regularnie ŻYCIE, stanowi jedyną rozrywkę, jest ciekawe i sercu bliskie. Myślę wiele o przyjaciołach pozostałych w Anglii. Kto zdobył się na znaczny psychiczny wysiłek porzucenia Europy i czuje z nią związek nierozerwalny, jak ja czuję, ten chciałby poinformować rzetelnie środowisko polskie w Anglii, jakie tu są widoki i jak się, tę krańcową odmienność, znosi.

W Halifaxie pierwsze zetknięcie z ludźmi Kanady daje dobre wrażenie. Uczynność, spokój, jakaś pogodna pobłażliwość urzędników celnych, wyjaśnia z pomyślnych warunków bytu. Po śmiertelnie nudnej, a dziwnie hałaśliwej gromadzie kupców angielskich z rodzinami, rechoczących przez 7 dni na okręcie z radości, że się instalują w Kanadzie — uderza po wylądowaniu przychylniejsza natura Kanadyjczyków.

Pociągiem tak podłym, jakiego u nas w Polsce wyobrazić sobie nie można, dygoczącym, trzeszczącym, hamującym gwałtownie z przeraźliwym wyciem gwizdka, gęstym od kurzu, bo okna (jakoby dla higieny!) się nie otwierają wcale, a miluchne wentylatory rozpryskują pył po przedziale istną fontanną duszności — jedzie dość ponuro usposobiony emigrant. Wybrał miasto, w którym uzyskał już przez korespondencję zahaczenie. Nie znaczy to, niestety, by mógł — stylem polskim — zajechać do znajomych tylko, że ci znajomi poinformują go i wskażą środki zarobków. Kanadyjczycy i Polacy również mieszkają tu bardzo luźno w swoich własnych domach przeważnie, ale gościnność nie jest cechą kultury materialnej, która tu jest bardzo wysoka.

Ten moment przyjechania do obcego miasta, przeważnie u rodaków, ze słabą znajomością języka, jest najgorszy. Pokoje nieproporcjonalnie drogie, mały pokoik w Toronto, oczywiście bez jedzenia, 5 dol. dziennie. A przestrzenie ogromne trzeba jeździć, dowiadywać się, starać o pracę odrazu. Patrzy się bezradnie jak wśród zabiegów o zarobek (kolej bardzo droga) topnieje kapitalik. Dopiero tu wśród uderzającego bogactwa, odrazu widzimy, jak mało znaczą nasze grosze, jakimi dziadami, nas Polaków, uczyniła — nie wojna — lecz polityka powojenna...

Są ludzie, dla których trudności walki o byt, w ogóle mus najwyższego wysiłku, stanowi interesującą grę i stale się bodźcem. Ci niech przyjeżdżają do Kanady. Ogromne możliwości otwierają się przed takimi. Słyszę już o poważnych osiągnięciach i Polacy ze swą ryzykancką fantazją nadają się bardzo do tutejszej struktury gospodarczej, o ile nauczą się tu rachować, czegośmy nie lubili. Praca tu zaczyna się dla emigranta wszelkiego fachu od fizycznej, ciężkiej roboty czy to na farmie (na kontrakt), czy w jednej z niezliczonych fabryk pracujących w każdym mieście i miasteczkach. Dlatego emigrować powinni młodzi (później ściągnąć rodzinę starszą), dla ludzi starszych jest to wysiłek przedwcześnie rujnujący zdrowie. Bo pracuje się tu znacznie ostrzej i więcej niż w Europie. Na farmie 100-akrowej obok nas pracuje tylko ojciec i syn 9-letni. Widuję to dziecko o ramionkach jak patyki, godzinami łopatą wybiera nawóz i rzuca na wóz — jest to u nas, w tym wieku, niepraktykowane.

To też na wsi, gdzie praca jest najcięższa, mężczyźni 40-letni wyglądają na starych, a kobiety młode są pomarszczone, siwe i sterane. Przytym wpływ klimatu bardzo ciężkiego nawet tu w Ontario, gdzie jestem, choć prowincja ta w urzędowym oświetleniu ma aurę „pleasant" — wyraźnie szkodzi na serce. Zmiany gwałtowne od 3 stopni ciepła z lodowatym wichrem do upału powtarzają się tu periodycznie od dwuch miesięcy. A dziś w nocy był mróz i pomidory wszystkie zmarzły. Jutro może być już znów upał wilgotny, obezwładniający. Przytym wiatr — stale. Gdy jest godzina ciszy to jest tak wyjątkowa że się ją odczuwa jak jakieś święto, coś uroczystego. A ten wiatr nie szumi tylko świszczy i wyje w pełni wiosny kanadyjskiej.

Młodzi mają tu drogę do prędkiego i zyskowego wybicia się. Najpierw w fabryce dniówka od 70 centów za godzinę do 1.30 nawet i to dla zupełnie niefachowych. To daje odrazu poważną nadwyżkę nad wydatkami. Znam polskie małżeństwo wojskowe w sile wieku z dorosłymi 2 córkami, pracują wszyscy czworo. Dla kobiet jest tu w miastach praca lekka w szwalniach, pakowniach etc. Mieszkają w małym mieście pełnym wygodnych domów i zieloności i są zaledwie od roku w Kanadzie — przywieźli z sobą 2 tys. dolarów. Mają je nietknięte, w tych dniach kupują ładny dom 7 pokojowy — przy wpłacie 1.500 dol., a reszta na wygodne raty. Sam ten domek przy wynajmowaniu pokojów — na które jest wielkie zapotrzebowanie właśnie z powodu uprzemysłowienia miast — da im dostatnie utrzymanie. Wszyscy tu myślą przede wszystkim o własnym domu, warunki spłat są korzystne, domek dostępny jest każdemu.

Domkom tym trzeba poświęcić nieco uwagi, bo są wymowną cechę kraju. Małe, niskie ale z widoczną pieczołowitością stawiane, z werandami, schodkami, ogródkami, malowane na czerwono, zielono, szafirowo... Rozrzucane po willowych dzielnicach miast, czy po falistych polach, ciągnących się jak okiem sięgnąć — błyszczą kolorami i mają wdzięk. Ich małość przy licznych ozdobach ma coś z bajki. Jest w nich przytulność firanek, kwiatów, migają komfortem wnętrz. Widać, że wyrastają — a przybywa ich codzień — jako jedyna ponęta wśród srogiego klimatu, że są ochroną i ucieczką przed nim. Uroku w tych domkach nie ma, bo urok posiada w życiu tylko ciągłość, trwanie, wynikłe z miłości. Tu jest wszystko płynne, jak pieniądz. Mogę kupić zaraz najbardziej ulubiony przez właściciela domek, abym dał tylko dobrą cenę. Każda farma jest na sprzedaż, jeśli się za nią dość zapłaci... Ta magia dolara — bóstwa ślepego — kładzie swe piętno pogańskie na całej atmosferze. Wieje tu pustką duchową, jak dzikością oddychają olbrzymie połacie ledwo zaludnionego kraju.

Natomiast sprawność przemysłu, handlu, zdolność pracy, umiejętność operowania tym bóstwem, jakim jest dolar — jest pouczająca, pozytywna i ułatwia postawę sprężystą wobec życia i osiągnięcia dobrobytu. Warunki ustabilizowane, decydujące ułatwienia motoryzacji (każdy chłop ma samochód), selekcja ludzi, których tu wpuszczają, bacznie śledząc czy pracują i jak — wszystko to stwarza zupełnie pierwszorzędny warsztat powszechnej produkcji i powszechnego bogactwa.

Naturalnie, że nad tą organizacją dziwnego, zlepkowego kraju czuwa Anglia i ona wszystkim kieruje. Wielka ta administratorka daje innym zarobić, ale zarabia najwięcej sama. Popiersia królów angielskich są na sprzedaż w każdym najmniejszym miasteczku i kierują wyobraźnię ludzi rozproszonych różnym pochodzeniem i odmiennymi językami — pod jeden sztandar sugestywny osiągnięciami ekonomicznymi na całym świecie.

Tego roku jest susza, jakiej nie było od 125 lat i grozi klęska. Premier ogłosił, że Kanada traci 5 milionów dziennie. Wspomniałem śliczne polskie nabożeństwa na intencję deszczu, w obliczu klęski suszy, tyle razy skuteczne. I uśmiecham się na myśl czegoś podobnego w Kanadzie. Kościołków różnych wyznań jest wiele, ale poza mocną, zwartą, katolicką prowincją Quebec to tu mieszkają „honorable" poganie. Obieżyświaty po wielu przejściach i zawodach wspominają Boga raczej, by Mu coś zarzucić, niż żeby go wielbić i dziękować, że znaleźli tu chleb i — coś więcej — zupełną wolność. Nie tyczy to kolonii polskiej, która świeci wprost cnotami polskiego żarliwego katolicyzmu i posiada wybitnych kapłanów. Byłem na uroczystości 3 Maja w Hamilton w sali parafialnej przepełnionej i jestem zbudowany. Kawał żywej Polski! A na przyjęciu u wielkiego działacza katolickiego księdza proboszcza Bartyka, czułem się jak na plebanii w Łomży czy w Płocku... Choć ksiądz wyjechał z Polski przeszo 20 lat temu.

Lecz ta gromada polska nie nadaje tu tonu. Jest zbyt mała. Ostatnia statystyka wykazuje 167 tys. Polaków. Coś jakby pół Poznania na przestrzeni większej od Europy. Niemców pół miliona bez mała i bardzo wrośniętych, z fortunami. Pozatym ludzie wszelkich narodowości tu szukali schronienia i znaleźli je. 28 krajów wymienia tabela urzędowa pochodzenia ludności. Czy tę różnorodność odczuwa się odrazu po przybyciu tutaj? Tak — odrazu. Z szewcem w maleńkim miasteczku rozmawiałem po włosku, a żona jego jest Hiszpanką. Japończyk w sklepie ze starzyzną uśmiecha się finezyjnie i bez słów, mówi mi coś o swej świetlistej, nieszczęsnej ojczyźnie. Niemiec dorabia się fantastycznie na jednodniowych kurczakach i pozostaje sobą. Ciężki układ mięśni i kości, otyłość i pozory dobroduszności w niebieskich oczach, na którą tyle razy nabierał ludzi... To wszystko z Hanoweru.

— O, kraju — mówię sobie nieraz — kraju bez ojczyzny. To jest przełom znaleźć się w pustce. Wrażenie tej dotkliwej a nieuchwytnej pustki potęguje jeszcze na wsi zupełny brak woni tej bogatej ziemi. Szukam gorączkowo Fiedlera, by mu nawymyślać. „Kanada pachnąca żywicą". Jestem w urodzajnej, obsianej prowincji Ontario. Prócz nawozu nie ma od 2 miesięcy jednej smugi woni, która na wiosnę w Europie jest odurzająca — nie pachnie ziemia, ani trawa, ani drzewa, ani pastwisko. Powietrze jest blade i puste. Niebo nie jest nigdy w płomieniach. Rozkoszna woń wsi, siana, dymu, gleby — jest tu nieznana. Wicher wieje, ale wcale nie przynosi gorącej, upragnionej woni życiny.

To też gdy staję o świcie przed wygodnym, miłym domkiem farmerskim, gdzie praktykuję, to moja dusza sama nagle odchodzi wprost do najbliższej stacji kolejowej, by umknąć. Nawet blisko jest ta stacja — wyje lokomotywa nocami jak potępieniec. Ale tu się duszę poskramia. Zostaję. Nawet zamierzam się trochę dorobić. To, że pierwszy raz w życiu myślę o tym realnie, zawdzięczam kanadyjskiej pustce nieba i ziemi. Co ma tu ciągnąć, gdy nie ma ojczyzny, sztuki, wspólności ludzi żyjących o miedzę a nie znających się? Ciągnie — dolar. Za w nim by nie utonę nawet jeśli go zdobędę, ale inni utonęli już z kretesem.

Andrzej Wolski

GŁOSY CZYTELNIKÓW

J. P. J. (Anglia): „Czytając polemiki i dyskusje w ŻYCIU podniecam się nie mniej niż na meczu bokserskim. Dlatego też przeczytałem „od deski do deski" i wciąż jeszcze czytam „Echa artykułu **Lenin, czyli o tomiźmie**"...

J. Cz. (Paryż) ...Czytam ŻYCIE z wzrastającym zainteresowaniem...

Z. K. (Anglia) ...ŻYCIE rozpolemiczyło się zanadto. Co gorsza, wiele polemik brzmi gledliwie, agresywnie, nieprzyjemnie. Myślę przede wszystkim o listach pp. Ponisza, Relidzyńskiego i Sikory. Trudno się w nich dopatrzeć miłości bliźniego. Czy nie możnaby ograniczyć ilości wierszy zajmowanych przez dyskutantów do pewnego maximum? Jak w dyskusji poodczytowej? Ostatecznie poto utworzono podobno „Gazetę Niedzielną", by w ŻYCIU można było pisać, nie oglądając się na to, czy jaki czytelnik źle nie zrozumie. — Tak się u nas nauczono żyć i karmić innych tylko urzędową propagandą, że aż strach"...

J. P. (USA) ...Uwielbiam artykuły O. Bocheńskiego, jeśli tylko nie pisze o sobie. A w obu ostatnich w ŻYCIU — o tomizmie i o ś.p. Jacku Woronieckim o sobie nie pisał...

M.C. (Monachium) ...Wydaje mi się, że w dyskusji nad artykułem O. Bocheńskiego wielu z dyskutantów w ogóle nie wie, o co chodzi, a piszą nieraz po to tylko, aby „zabrać głos" i „dać się usłyszeć"...

J.B. (Frankfurt n/Menem) ...P. Sopicki pisze horenda, nie mające sprawdzianu w rzeczywistości politycznej w Niemczech... Przecież trzeba się liczyć z jakimiś realiami!

T. S. (Anglia) Już za dużo dyskusji z X. Bocheńskim! Argumenty się powtarzają — a ludzie się niecierpliwią, bo dla wielu ŻYCIE jest jedyną lekturą i chcieliby w nim znaleźć mnóstwo rzeczy, poza wymianą listów bez końca na jeden temat... Co to za „Cesarzowa(?!) Anna" występuje w „Notatniku" (nr 30) w notatce „Forma odwetu"? Bardzo się nią zaniepokoiłam. Wogóle ów „Notatnik" nie jest na poziomie całości ŻYCIA... ŻYCIE jest niewątpliwie, mimo wszystko, jedną z najpozytywniejszych pozycyj na emigracji.

SPROSTOWANIE

Do artykułu „Wojna, polityka, nauka" w nr 31 „Życia" zakradły się dwa błędy, które należy sprostować: str. 4 szpalta 3 wiersz 30 zamiast „Kraj Nasz" — powinno być: „**Kraj Wasz**"... Szpalta 4 wiersz 49 przekręcono nazwisko ukraińskiego atamana głównego, które brzmi — **Petlura.**

W nrze 30 w artykule „Człowiek cały" podano błędnie imię X. dra Brzózki. Ma być **Feliks** a nie jak wydrukowano — Franciszek. Za omyłkę W. X. F. Brzózkę bardzo przepraszamy.

W nrze 32 w liście J. Conrada „Do moich braci po piórze", w 2 szpalcie listu, wiersze 35 i 36 (od przecinka do przecinka) powinny brzmieć: ...„w którym artysta najwięcej **potrzebuje życzliwości**,"... (a **nie**: „potrzebie rzyczliwości").

W artykule R. Brzezińskiego „Miłość niewygasła", str. 4, łam trzeci, wiersz 36 od dołu, powinno być: „**Massy**", a nie „Massey".

W życiorysie Conrada pod jego wizerunkiem na str. 5 w wierszu 9 od góry powinno być: „**1869**", a nie „1867". Jest to data śmierci ojca Conrada.

RED.

ŻYCIE KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - SPOŁECZNY
Wydawca:
VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE
Adres redakcji i administracji:
POLISH WEEKLY „ŻYCIE" — 12, Praed Mews, London, W.2
Telefony: Redakcja i Administracja — AMB 6879. Drukarnia PAD 9734
Redaktor przyjmuje: po uprzednim telefonicznym porozumieniu.
we wtorki, środy, czwartki i piątki TYLKO od godz. 16 — 17
Administracja czynna: **codziennie** od godz. 9 do 13 i od godz 14 — 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.
Prenumerata: płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 3/6, kwartalnie 10/-
Wszelkie wpłaty: przekazywać należy Postal — lub Money orderami względnie czekami bankowymi „crossed" i wystawionymi na **VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE. Ceny ogłoszeń:** 1 cal przez 1 łam £ 1. W tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Za treść ogłoszeń nie przyjmuje się odpowiedzialności. **Do zbierania ogłoszeń upoważniona jest wyłącznie:** f-ma THE CARLTON BERRY CO LTD., Grand Buildings Trafalgar Square, London, W.C.2. Telefon ABB 5108.

Printed by: „Veritas Foundation Press"
12, Praed Mews, London. W.2. Tel. PAD. 9734.